



<http://rcin.org.pl>

326

634

POWIEŚCI

DLA

MOICH ZIOMKÓW

WOLNO DRUKOWAC.

*Z warunkiem złożenia ~~prawa~~ przepisanej
liczby Exemplarzy w Komitecie Cenzury.*

Warszawa dnia $\frac{3}{11}$ Kwiet. 1845 r.

**STARSZY CENZOR I NACZELNIK K.C.R.
NIEZABITOWSKI**

**W DRUKARNI T. WYSZOMIERSKIEGO.
przy Ulicy Senatorskiej i Zabiej Nr. 955.**

Egz. archiwalny IBL

POWIEŚCI

MOICH ZIOMKÓW

ORYGINALNIE NAPISANE

PRZEZ

J. S.

TOM II.

WARSZAWA.

1845.

Instytut Archiwalny PAN



WÓJCIKOWSKI

**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-330 Warszawa

Tel. 26-68-68, 26-52-31 w. 42

<http://46in.org.pl>

WANDA I MARYA.

OPOWIADANIE STAREGO KAWALERA

Jeszcze nie w wizytowej godzinie, bo dopiero dochodziło wpół do jedenastej z rana, zadzwoniłem do przedpokoju dobrych swoich znajomych. Ledwo otworzył mi służący, już z przyległej sali drzwi się uchyliły i dwoje prześlicznych dzieci rzuciło na mnie ciekawemi oczyma. — „Ach! to pan Antoni, kochany, dobry pan Antoni, zawołały jednogłośnie, spoglądając na moje ręce,

cay do kieszeni nie sięgnę, lub czy już nie zamykają czasem jakich łakotek, bez których rzadko do nich przychodziłem. Tą razą miałem dobry zapas karmelków, zacząłem jeden po drugim wyjmować. — „Guciu, Guciu! wołały na chłopczyka co już siedział nad książką, patrz Guciu, karmelki! Pan Antoni! I zaprowadziły mię do sali, posadziły prawie gwałtem na kanapie, sześciolatek Kazio, nieproszony, wdrapał się na moje kolana i z wdzięczną minką, drobne rączki wyciągał.

Lubię dzieci, lubię te ich słowa niewyraźne jak ich myśl pierwsza, ich głosy szczebiotliwe, którymby wszystko wyrazić chciały, ich łzy prędko ukojone i śmiech wzniecony drobnostką.

Jest u nich w całym świetle samolubstwo ludzkiej natury, jeszcze nie osłonięte formułami fałszu i hipokryzyi,

które nazywają wychowaniem, grzecznością. Ta szczerota największym ich dla mnie jest powabem. „Ja tak lubię różowe karmelki, rzekł Guccio nieśmiało. I ja, i ja, wołały drugie. — Dałem Maryni karmelek z wierszami dłuższy od innych.

Kazio zmierzył go okiem i ze swoim porównał.

„Ja chrę z wierszami, ja lubię wiersze... długie, zawołał na płacz się krzywiąc. „No dosyć już tego moje dzieci, rzekłem wypróżniwszy torebkę. Mama wasza i tak łajac będzie, żeście dużo zjadły. Słodyczne psują zęby.”

— O! mnie jeszcze nie padały, mówiła Marynia, dogryzając skwapliwie reszty karmelka, ale Guccio już ma cztery zęby nowe na przodzie.

— Ja nie jem przedniemi, tylko trzonowemi, odpowiedział Guccio, kładąc

z pośpiechem do ust to, co mu w ręku pozostało.

— Gdzież mama? spytałem nareszcie moich małych przyjaciół

— Mama czyta w swoim pokoju, rzekł starszy.

— Mama płacze, dodała tajemniczo dziewczynka.

— Nie, nie, nieprawda wołał mały Kazio, pchając bezsilnymi rączkami drzwi, które do drugiego prowadziły pokoju. Otworzyłem mu je, a on biegnąc tak szybko, że prawie upadł na matki kolana, wołał ciągle: „Prawda że ty nie płaczesz mamo? daj, daj, pocałuję cię w oczko, a nie płacz.

Pani Roańska uściskała syna i podniosła głowę, aby mnie przywitać.— Wtenczas zrozumiałem widząc jej zzerwienione powieki, że Marynia okiem

kobięty co każdą boleść przeczuwa, zgaduje, lzy matki była dostrzegła.

— Moje odwiedziny zbyt ranne, natrętne, daruj Pani, rzekłem spostrzegłszy iż listów plikę chowała do machonowej skrzyneczki.

— Czyż Pan, nie zawsze miłym dla nas gościem, odpowiedziała z niewypowiedzianym wdziękiem podając mi rękę. No powiedzże nam pan, co tam słychać nowego?

— Nic nie wiem, choć chciałbym powiedzieć coś wesołego, aby panią rozzerwać, bo nie lubię patrzeć na jej smutek.—

— Są to, panie, dawne wspomnienia, wywołane tych oto listów przeglądem. Listy przyjaciółki lat dziecinnych, a ona już nie żyje.”

— Zdaje mi się, że to pani pismo?

— Tak jest, są tu jej i moje listy.

Te ostatnie już po śmierci Maryi z jej papierów wydobyłam, i teraz właśnie łączą je w jedną paczkę układając podług daty.

— To zapewne jakaś poufała korespondencya, pełna zwierzań, urojeń kobiecych, rzekłem, źle ciekawość moję tonem lekceważenia pokrywając.

— I to, i nie to, odparła z lekkim uśmiechem. „Jeżelibyś Pan sam osądzić życzył, czy kobiéta o której mówię warta była lepszego losu.....”

— Och! Pani, przerwałem całując jej rękę. Pani tak pięknie piszesz, że ktośby jej listów czytać nie lubił?

— Oj, oj, panie pochlebco, nie pokryje twój ciekawości komplement. Ale gniewać się nie będę. Znam Pana i wiem, że nie myśli szyderskie, lecz szczere współczucie wzbudziłyby w Panu te listy, zawierające obraz chara-

kteru dwóch kobiet, skreślony własnymi, najskrytszemi ich zdaniem, wyjawianemi z całą ufnością młodego serca. —

— Pani! opowiadałem ci różne życia mojego koleje. Wiesz że dzisiejszy stary kawaler był niegdyś zapalonym młodzieńcem, że jeżeli samotny wędruje na drodze życia, to dla tego, iż może wymagając za wiele, nie napotkał towarzyski, według swych wyobrażeń. W sercu mojem pozostał nie zużyty zapal młodości; skarb miłości, przeznaczony dla jednej istoty, rozpostarłem na wielu w łagodniejszych przyjaźni kształtach, i jabym miał się urągać z uczucia, jabym je pojąć nie umiał?

— Wiem to wszystko, mój dobry Panie Antoni, i dla tego jednemu tobie może te listybym powierzyła. — One mają dla mnie wartość relikwii. Wśród

łzów, które mi one zawsze wyciskają, choć je już prawie umiem na pamięć, najlepsze przychodzą mi myśli, robię plany wychowania moich dzieci i zdaje mi się że ona mi radzi, że mi dopomaga w tym obowiązku. Masz Pan, dodała pani Rońska, wiążąc czarną wstążeczką, zgromadzone starannie listy. Daję Panu i moje, bo ściśle z temi się łączą. Są to prawie pytania i odpowiedzi, czytając jedne nie domyśliłbyś się pan drugich. Teraz powiem Panu, że kiedy one były pisane, ja nie miałam jeszcze lat dwudziestu, mieszkałam z rodzicami tu w Warszawie, a Marya na wsi przy stryju. O resztę, co Pan wieciec zechcesz, zapytasz mi się, jak się drugi raz zobaczymy. Dziś wybacz Pan, nie mam czasu. Kilku urzędników z biura mego męża będzie u nas

na obiedzie, uczyn' nam Pan tę grzeczność i zostań także.

Uchwyciłem za podaną paczkę, przyjąłem zaprosiny i poszedłem bawić się z dziećmi podczas kiedy Pani Rońska zajmowała się wydawaniem różnych rozkazów. Niedługo po obiedzie opuściłem moich znajomych, zamknąłem się w swoim pokoju, pragnąc odczytać listy, których treść tak mi się zajmującą być obiecywała. Byłem ciekawy jak człowiek nie mający żadnego celu życia, którego dostateczne i pewne dochody od zatargów majątkowych uwalniają, którego ulubionem życiem jest uważanie towarzystwa, uchwycenie dziwactw i sprzeczności charakterów. Najmilszą zabawką moją jest anatomia uczuć serca. Jedyne może sposob przytłumienia ich w swoim. — Lecz to bynajmniej nie osłabiło mojej ogólnej

dla rodu ludzkiego życzliwości. Z delikatnością we wnętrze duszy wzierając, wypatrywałem to co w niej pięknego, szlachetnego, od jej zakałów odwracałem się ze wstrętem. Dla tego też utyskiwałem, bolałem często nad ludźmi, ale nie złorzeczyłem im nigdy. Kobięty starałem się przeniknąć z przyjemnością, jaką ma lubownik zagadek w ich rozwiązywaniu. Poufałe ich listy, kiedy mi jaki wpadł w oczy, z upodobaniem czytałem. Pióro ich drobnemi rączkami kierowane, niewypowiedzianym wdziękiem wszystkie barwi przedmiota. — W szczęściu rozpisujące się szczebiotliwie, umieją one znaleźć krótkie a malujące wyrazy dla określenia boleści. Przywykłe znosić wszystko w milczeniu, zarzucają zasłonną cierpliwość na tysiączne zmartwienia, które trapią ich tkliwe dusze. Cza-

sem jednak w liście do drugiej pisany
kobiety, wymknie im się jęków kilka,
które nagle objawiają siłę tajonego
cierpienia.

Takie to listy, jak mi się zdało, mia-
łem przed oczyma. Odwiązawszy czar-
ną wstążeczkę wziąłem pierwszy z wie-
rzchu. Był od Maryi, biały, cienki,
gładki z ślicznym niezapominajek bu-
kietem w miejscu herbu. Kwiaty żywy
kolor zachowywały, gdy tymczasem te
które po śmierci na skronie Maryi wło-
żono, już stoczone zapewne od robaków
nie zostawiły i śladu, tak jak równie
jej ciało już było przemienione w spró-
chniałych kości gromadkę, kiedy ten
list jej otworzyłem. List pełen ży-
cia!.....

5. Lutego 1832 r.

„Och! Wando kochana! jakżem we-
<http://rcin.org.pl>

soła! I z tobą tego nie podzielić wrażenia byłoby wysokiego samolubstwa czynem. Piszę do Ciebie od pani Wolnickiej, całą noc na tańcach spędziwszy i kiedy wszyscy strudzeni, zaspani do swych łóżek dążą, ja na pół rozebrana, czując jeszcze miłą woń mego balowego bukietu, słysząc brzmiające w mych uszach ostatnie muzyki akorda, zamknęłam się w pokoju który dla mnie przeznaczono i usiadłam aby porozmawiać z tobą. Nikt mnie nie widzi, bo śmieliby się może, że zamiast iść na spoczynek piszę z pośpiechem jakby list najpilniejszy. Ja jednak spaćbym nie mogła. Tak jestem rozdrażniona Tańczyliśmy długo, szalenie, zapamiętane, tańczyliśmy od ósmej do ósmej, jak to ja lubię bez przestanku, bez odetchnienia. Och! bal to rzecz czarowna. Jak upajające wrażenie sprawia-

— 17 —
ją na mnie za pierwszym rzutem oka, te mnogie światła odbijające różnobarwną odzież kobiet, które się wtenczas lśniące pięknością wydają. A ta grupa ciemnych fraków z pomiędzy której z tyłu spojrzeń na wchodzącą rzuconych, jedno tylko szukane, jedno dostrzeżone, jedno miłe jego spojrzenie. Bo trzebaż ci donosić, że on był także, czyżbym inaczej była się tak dobrze bawiła? Ty zawsze okiem przyjaźni, to jest pobłażania, upatrujesz we mnie jakiś autorski talent. Zachęcasz do pisanja, nieśmiertelności, sławy nadzieją. O! moja Wando choćby to nie były ezcze marzenia tylko, jabym całą chwałę u ludzi, ich uwielbienia, poklaski za pięć minut takiego z nim walca oddała. Czy ty pojdziesz, jak dla mnie w czarodziejskie kształty, obłóczy się cała sala, przytomni, kiedy się tak czu-

ję otoczoną jego rękoma, kiedy szybka tańca muzyka unosi nas kołujących wśród wielkiego koła, a powietrze tym wirem wzruszone miesza nasz oddech, puklami włosów przerzuca. Nie, to co wtenczas doznaję opowiedzieć ci nie umiem i ty też tego nie zrozumiesz, ty, coś nie kochała jeszcze. Bo zrozumieć jestto pojąć rozumem, a to wrażenie nie podpada pod rozumu władzę. -- Jestto melodia uczucia nieokreślona mową, nieuchwycona myślą, to czysta rokosz duszy, pieśń harmonijnie brzmiąca, która tylko w sercu ma echo. Rzecz dziwna, walc z kim innym był dla mnie męczącym tańcem tylko... odurzający jest ten ruch gwałtowny. Ja zawsze inną wtedy kobietą jestem. Ufna, wesoła, bez zastanowienia... Wczorajsze- gólniej byłam taką. On mi to powie- dział wężrzeniem nie słowy i dla tego

uwierzyłam. Kontenta że mi to przyjemność sprawiało, że on taki dla mnie jak nigdy, żadna myśl posępna nie zachmurzyła mego czoła, śmiałam się, tańczyłam wesoło, szalenie. Szczęśliwe chwile, czy powtórzycie się jeszcze? Patrz, teraz właśnie wypadła mi róża co jeszcze tkwiła we włosach i ostatnio skreślone słowa zmazała. Róża, kwiat miłości! czyżby mi chciała przepowiedzieć, że dla mnie złudzenie minie z balu godziną? lub też ostrzedz tylko że już przestać trzeba pisanie, bo głowa się chwieje, zemdlone mrużą powieki. — Znużenie ciała bierze górę nad pełnym życia i siły duchem. Żegnam cię więc moja droga.



List 2. Wanda do Maryi.

27 Lutego.

Dobrze, że ludzie których rozsądnymi zowią, nie czytają naszych listów. Widząc to coś ty ostatnią razą do mnie pisała, powiedzieliby: „Co za głowa ekzaltowana, przewrócona.” Lecz ja cóż mam mówić? Oto wiesz dobrze, pocałowałabym tę kochaną główkę, że-bym ją tu miała tylko. Lecz czy ty dbasz wiele o moje przywiązanie, ty tak jednym wyłącznym zajęta uczuciem. Chcę dziś się z tobą wyklócić za to, że tak lekceważysz autorską sławę. Ty byś wszystkie twoje zdolności sprzedać gotowa za jeden pocałunek tego faryzeusza, tego..... nie powiem już. Ty byś z uśmiechem na jego żądanie spaliła dzieł stósy choćby one tobie sławę, ziomkom pożytek przynieść mo-

gły. Ale dając żartom pokój, powiem ci że to jest samolubstwo do najwyższego posunięte stopnia. Ja talent uważam jako wiele obowiązujący. Kto otrzymał wyższości cząstkę, nie winienże z drugimi nią się podzielić? Nie winienże wznieść ich raczej do siebie, a niżeli zniżyć się do ich ułomności? Ty masz wiele wyobraźni, dowcipu trafnego i rozważającego rozumu, tak twierdzą ci, których zdanie godnem wiary mi się być zdaje. Ja cię proszę moja Maryniu, napisz co choćby na próbę, w jakimkolwiek zechcesz rodzaju. Coś mi twoje przepowiada powodzenie. Weź się do poezyi, do rozpraw lub do romansów. Oblecz jaką urojoną bohaterkę w te uczucia które tak silnie wrą w twojej duszy. To im nieco ich nadzwyczajnej odejmie gwałtowności. Wylej na papier te skarby serca skwa-

pliwie dotąd chowane dla tego, który zapewne ich wartości cenić nie umie. Opisz swe myśli, niepokoje, cierpienia, a serce twoje uderzy radośniej gdy na te drukowane karty spadnie łezka współczucia jakiej tkliwej jak ty kobiety. Możesz jej być użyteczną nauką, z przykładu, piórem talentu wysnutą. — Wystaw sobie, ledwo list zaczęłam, a ten Ekonom twego stryja o list się dopomina. Nawet mama mówi: Co też tam te panny tak dużo do siebie pisać mają. Ja zaś mimo wszystko, piszę jeszcze, bo dla mnie list kończyć, to jest się z tobą rozstawać. Ja tak mam rzadko teraz ustnego rozmawiania z tobą uciechę. Ale cóż, trzeba skończyć na przesłaniu ci z tym papierem tysięcznych przyjacielskich całusów. Uściskaj też odemnie dobrą panią Wolnicką, za to że ci czasami rozrywki dostarcza.

Mówią mi żeś u niej blisko tydzień bawiła, a na kilka dni od stryja cię wy- dostać, już ja wiem jaka to rzecz tru- dna.

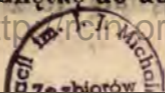
List 3. Marja do Wandy

30 Marca.

Ty mnie namawiasz do autorstwa, moja Wandziu, a ja myślę zawsze, iż pisać średnio, to lepiej nie pisać. Po cóż się więc mam porywać, kiedy aby dojść wysoko, aby nad innemi celo- wać na siłach się nie czuję. Nędzną, tuzinkową być autorką, o! tej śmieszno- ści nie pragnę ściągnąć na siebie. Wolę pędzić tak dalej nieznanie, skromnie, zaczęte życie, marzyć o szczęściu trochę, budować zamki na lodzie, a jeżeli pręd- ko wątpła podstawa pod niemi się zała- mie, cierpieć w ukryciu, łzy stłumić uśmiechem. Bo w radości należy być

gadatliwym, wesołość szczerze wokoło siebie udzielać, wszak jej nigdy nie jest za nadto. Lecz smutek schować lepiej w głąb' duszy, nie зараżać nim otaczających, każdy ze swej strony i tak ma dosyć do zmartwienia powodów. A czyżbym uchronić się mogła, aby nie wspomnieć jak gęsto gorzki piołun przeplata uczuć równiankę, którą tak barwną, tak ponętną widzi młoda wyobraźnia. Otacza się nią rokosznie, jeden po drugim kwiatki pomyka, każdego nasycy się wonią, szczęśliwa! jeżeli ją gorycz, zachwyci tylko w przełocie. I cóżbym napisała innego jak to co już powiedziało wielu. Mamże dopomagać piórem do rozgałęzienia tych kilku zapytań, w które od lat tyłu zagłębia się rozum ludzi i wysiła się na ich rozwiązanie. A tu zakres, mur nieprzebyty, wola niezłamana Tego, któ-

ry rzucił na ziemię nikiemne względem siebie prochy filozofów, mędrków i nie chce być od nich zgłębiony. Och! ja wolę być z liczby tych, co padając na kolana wierzą, co nie pytając o pochodzenie człowieka, o pierwiastki duszy jego, zajmują się polepszeniem bytu, umileniem życia istot, wspólnie zniemi ten świat ludniących. — Mówisz mi że pisząc, można działać na ogół nauką na przykładzie opartą. Ale czyż doświadczenie drugich posłuży komu, czyż nie każdy własnym kosztem wzbogacać się w nie musi. Aby pisać zaś, dla samej innych rozrywki, nie mam już dosyć młodego umysłu, dosyć ufego serca. Zkąd ta niewiara w dobre, ta podejrzliwość we mnie, kiedy dotąd żadnych niedoznałam zawodów? Nie jestże to objawem że one w mem życiu nagromadzą się wszystkie?... Chętkę do autorstwa, któ-



ra mnie brała niegdyś, odrzuciłam. Mimo to pracuję wiele nad nabyciem niektórych wiadomości, ale jak wiiesz zawsze pokryjomu. Nie chcę narażać się memu stryjowi, którego takie zatrudnienie oburza. Według niego wszystko co wprost pieniężnej nie przynosi korzyści, jest nic nie warte. „Czyteż, mówi mi, choć aby grosz ci przyniesie to co w tych wyczytasz książkach.” Ja nic nie odpowiadałam, ale sobie myślę, że i przyjemność jest korzyścią. — Wszak nie raz płacimy nawet za kilkogodzinną zabawę. O! umysłowa z czytania rozrywka, dla nie jednych przewyższa z balów, teatrów uciechy. Czytam wiele rano lub wieczór przy świecy z moich szczupłych kupionój dochodów, bo raz gdy mnie stryji zszedł nad książką niespodzianie, zaczął wyrzucać, że oczy psuję, ale to z taką gwałto-

wnością, żem się spojrzała na niego zadiwiona troskliwością, która go wgniew aż wprowadzała. „Jeszcze warszawska świeca, pięć na funt, zawołał wpatrując się w łój obciekający długimi strumieniami. Domyśliłam się, że to nie nad stratą moich oczu tak ubolewał. — Odtąd scen podobnych starannie unikam. Cóż mi z tego że mój stryj ma pieniądze, że ja jedyną jego jestem dziedziczką. Teraz odmawia drobnostki, a potem zostawi duże dochody, kiedy z nich może korzystać nie będę mogła. Jakieś szczególne przeczucie mówi mi, że ja nie pożyję długo, dla tego też chciałabym używać wszystkiego co-prędzej. Żałuję bardzo, że moje wychowanie pod względem naukowym tak źle prowadzonym było. Cóż mnie nauczono żebym umiała dokładnie? Potem narzekają, iż kobiety przesadzone, ek-

zaltowane, a podobne kształcenie nie służy wcale do przytłumienia wrodzonej im zbytnej czułości. Gruntowniejsze nauki uczyniłyby ich rozum poważniejszym, nadały mu więcej zastanowienia, rozwagi.—Unas panienkę, która ledwo słowa składać zaczyna, uczą zaraz mówić po francuzku, potem czytać, pisać po francuzku, chociaż swojej jeszcze wcale nie zna pisowni. Uczą grać, śpiewać, tańczyć i to dosyć powiadają, kobieta wielkich wiadomości posiadać nie powinna, te ją od właściwych oddalają zatrudnień. Lecz przyznaj sama, czy nie nad francuzkim romansem najłatwiej o obowiązku zapomnieć? Tu iść trzeba wydawać na obiad, gdy tymczasem silnie obudzona ciekawość, przytrzymuje na miejscu, a by się dowiedzieć rozwiązania dreszczem przejmującej historyi. Do innych

zaś książek podobnie wychowana osoba najmniejszego gustu mieć nie może. — Dziełka szalonej literatury, najpierw, bo na pensyi jeszcze wpadają jej w rękę. Dorósłszy, całe dnie nie raz trawi nad niemi. A kiedy jej co gruntowniej napisanego dadzą: „Oh! powiada z udaną skromnością, to za mądre dla mnie.” Bo ta, tak nazwana mądra książka, jednym ciągiem przejrzećby się nie dała. Ją by można rozwinąć, w wolnych chwilach przeczytać z uwagą kart kilka i założyć na rozdziale kiedyby obowiązek do innego powoływał zatrudnienia. Takiej nie możnaby po trzy tomy na dzień przerzucać, ale trochę gruntownych wiadomości osiadłszy w pamięci ozdobiłyby umysł, wzbogaciły zapasy salonowych rozmów tak czezych, płaskich zwykle. Ztąd także pochodzi ta mania filozofowania, która między najmłodsze się wkrada.—

Romanso-pisarze francuzcy, używają wprawdzie imienia Boga, ale to tylko jako machinę teatralną, tak jak w dekoracyach księżyc np. malują dla nadania więcej poezyi i wzniosłości obrazowi.— Ich mędrkowania gładkim upiększone stylem, łatwo w młodym pozostają umyśle. Nie raz ośmnastoletnia dziewczyna pogardliwym wzrokiem na wierzących spogląda, i niezmiernie wyższą się sądzi dla tego, że sobie żartuje z processyi i rozmawia podczas mszy obrządku. Te wszystkie symptomata nedorzecznosci naszego wychowania i ja przechodziłam moja Wando. Ztąd też śmiało i dokładnie o nich ci mówię. Dają nam prawie tylko posmakować każdej nauki, a zasmakować w niej nie zostawiają czasu. Przez to one nam wielkiemi się wydają i z tego zarozumiałość wypływa. Gruntowniejby nas uczyć

powinni, więcej kształcić rozum, więcej ćwiczyć myślenia władzę. Umysł nie miałby czasu zajmować się czczeni złudzeniami, marzyć o niepodobnem szczęściu. Nie miałyby tyle gorczy życia zawody. Religia mocniej wpojona, gorętszą, szczerząby była. Według mnie ci wierzą najmocniej, którzy nie nie umieją, albo też umieją wiele. Ci zaś co tylko część nauk poznali, eo wplątali się zaledwie w labirynt umiejętności, oślepieni ich mnogością, nie myślą o pierwiastku wszystkiego, nie zastanawiają się że jest pewien zakres wiadomości ludzkich, za obręb których przedrzeć się nie można, a wszystkie usiłowania człowieka, wykazują mu tylko nicość jego. Paskal uważa dwie ostateczności: „Pierwsza mówi, jest „ta wiadomość w jakiej się wszyscy po „urodzeniu znajdujemy. Do drugiej

„ostateczności dochodzą wielkie dusze,
 „które poznawszy to wszystko co lu-
 „dzie wiedzieć mogą, widzą, że nic nie
 „umieją jeszcze i znów znajdują się w
 „niewiadomości z której wyszli. Lecz
 „to jest niewiadomość uczona, pole-
 „gająca na poznaniu siebie. Ci co
 „wyszli z pierwszej naturalnej niewia-
 „domości, a do drugiej dosięgnąć nie
 „mogli, pochwywszy trochę nauki u-
 „dają najwięcej. Tacy to sądzą gorzej
 „jak wszyscy inni i mieszają światła
 „porządek.” Z tych ostatnich liczby,
 Wando, ja się być sędzę, chociaż mój
 wpływ nawet na otaczające mię osoby
 za mały, abym szkodliwą była. Kiedy
 już do pierwszej niewiadomości wrócić
 się niepodobna, dla czegożbym się nie
 wzniosła do drugiej? Czuję w sobie
 do tego chęć nie zachwianą, nią wszy-
 stko pokonać zdołam. Dzięki tak za-

wsze łaskawej dla mnie Pań Wolln-
ckiej, mogę różne czerpać książki z wy-
borowej biblioteki którą ma po ojcu.
Poleca mi jednak zawsze aby się nie
wydawać, że takie dzieła czytam. Śmie-
ją się tylko z kobiet literatek, mówi mi,
a ja to słysząc, z pociesznego świata u-
przedzenia się śmieję, które zabrania
kobietom szukać rzetelnej dla umysłu
korzyści. Czyż odczytać wzniosłe my-
śli Paskala, który w wieku kiedy inni
ludzie dopiero żyć zaczynają, rozstrzy-
gnąwszy najwyższe matematyczne pro-
blemata, przebiegłszy cały szereg wia-
domości, poznał ich małość i chory,
cierpiący zwrócił swą myśl do tego wie-
cznego geometry, do pierwiastku wszy-
stkiego, do Stwórcy, niepożyteczniej
jest i milej, jak dręczyć umysł np. hi-
storią Spiridyona, którąśmy winni pło-
dnej wyobraźni Jerzego Sand. Tam

maluje człowieka, który naprzód żydem potem protestantem, potem katolikiem się stawszy, wszystkich spróbował religij, rozbierał wszystkie, żadna przed jego badawczym rozumem ostać się nie mogła, żadnej dokładną nie znalazł i przy schyłku życia już nie miał żadnej, już w nic nie wierzył. Chciałabym tylko, moja Wandziu, żebyś te książki jedną po drugiej czytała, a różnica wrażenia, które każda z nich zrobi na tobie, powiedziałyby ci o ich wartości więcej jakbym ja to uczynić mogła. Filozof chrześcijański wykrywając nędzę natury człowieka, jej wielkość zarazem wskazuje. Ale że go filozofem mianują, żadna kobieta nie tknie się jego dzieła, gdy tymczasem czy jest która, coby doszła lat dwudziestu i nie czytała Spiridyona lub innych pism tego rodzaju. Muszę skończyć kocha-

na Wando. Chciałam ci wiele domowych opowiedzieć szczegółów, ale nie mam miejsca, choć zamiast listu wyraźnie zeszyt ci posyłam. Mądre rzeczy cały papier zabrały, ledwo jeszcze mały kawałeczek na ucałowanie cię pozostał.

List 4. Wanda do Maryi.

27 Kwietnia 1832 r.

Żeby nie to, że mi zawsze wyjeżdżasz z jakimiś szkaradnemi wczesnej śmierci przeczuciami, niedobra Maryniu, wdzięcznie podziękowałabym ci za twój list ostatni. On mnie podniósł; większej nadał wagi we własnej opinii. Więc już jestem coś znaczącą, wyższą nad inne kobietą kiedy listy które odbieram, tak ważne pedagogiczno-filozoficzno-religijne kwestye traktują. Chciałabym móżdż go pokazać wszystkim, że-

by widzieli przecie, że kobiety nie o samych tylko modach i balach mówią i piszą. Ale nie bój się, nie uczynię tego, kiedyś raz na zawsze nie kazała. Ja ci dziś coś innego bardzo dla mnie ważnego mam powiedzieć, lecz że to długa historia, zacznę od początku. Znasz ty tego starego pułkownika, Pana Twardowskiego, co u nas bywa tak często? Z ojcem i babunią robi zawsze partyą wista, a nam opowiada o kampaniach Włoskich i bandytach Kalabrii. Otóż tedy, uważałam kilka razy, jak mówił z rodzicami na mnie spoglądając. To niezmiernie ostrzyło moją ciekawość, a dopiero wczoraj domyśliłam się o co szło. Mama przyszła do mnie kiedyś się czesała, znalazła że źle włosy noszę, zganiła niedbałość moją o ubranie się do twarzy; powiedziała że terazniejsze panny do niczego, nawet

im się nie ehce raz w tydzień loków zawinąć, a dawniej po całych godzinach pukle trefiły. Ja to wszystko już mało kilkadziesiąt razy słyszałam, z początku więc nieuważałam nawet i później zgadłam dopiero, iż przestrogi tą razą cel miały. Bo gdy wyszła służąca, mama rzekła do mnie uroczystym głosem: „Moje dziecko, przyszłam ci powiedzieć, że dziś, nasz kochany Pułkownik, przedstawi nam Pana Rońskiego, młodego człowieka z dobrej rodziny, który cię już widział dawniej i życząc sobie starać się o twoje rękę, prosił o pozwolenie bywania w naszym domu. Zezwoliliśmy, bo to partya dla ciebie przyzwoita. Pamiętaj więc być miłą i podobać się. Wiesz, że was jest kilkoro i znacznego posagu mieć nie będziez. Pan Roński, choć tak młody, ma już urząd kilka tysięcy mu przyno-

szący. Oprócz tego znaczną wieś po rodzicach odziedziczy. Jak się ubierzesz, przyjdź do sali, jużes dawno nie grała tego ronda co ja tak lubię.” —

Wyszła mama, a ja stałam jak wryta. Aż mi się ze trzy razy Kasia, przyszedłszy, zapytała: „Którą pani suknie weźmie?” Bez namysłu wybrałam tę w której mi było najlepiej. Poszłam do sali, przegrałam rondo, a nikt nie przyszedł jeszcze. Wzięłam robotę Kanwową i nie raz zrobiłam niebieski ścieg zamiast białego, myśląc ktoby to był ten pan Roński. Przypominałam sobie wszystkich moich zeszłego karnawału tancerzy, o którym choć z dzień jeden po balu marzyłam. Nareszcie lokaj oznajmia oczekiwanych gości. Zimno i gorąco mi się zrobiło.

Podniosłam głowę i zobaczyłam naprzód wchodzącego Pułkownika, a za

nim tego ładnego bruneta, o którym ci wspominałam, zdaje mi się. Ażem się ucieszyła, że to on był panem Roańskim. Lecz pamiętając co mama mówiła o jego zamiarach, niezmiernie byłam zmieszana i oczu podnieść nie śmiałam. Widziałam jednak jak on ciągle na mnie poglądał i to mnie jeszcze bardziej nieśmiałą czyniło. Och! moja Maryniu, jest to ciężkie rzemiosło być panną na wydaniu. Tak mi się śmiać chciało z tych naszych min wszystkich, a tu trzeba było siedzieć prosto i uroczyście. Siedziałam jak skamieniała. Pan Roański zaczął mówić o muzyce, proszono mnie, aby zagrać, mama wspomniała owo rondo, które tak zręcznie pierwszej kazała mi sobie przypomnieć. Idę tedy z powagą do fortepianu, zrywa się pan Roański, za mojem staje krzeselkiem, mama pożera nas oczami

Pułkownik głową potakuje. Ja zaś jakby na przekorę myślę się jeden raz po drugim. Lecz wkrótce lepiej mi iść zaczyna. Myślę o tobie, ile dowcipnych żartów nastreczylibyśmy ci my wszyscy aktorowie tej towarzyskiej komedyi, i nareszcie świetnie, wesoło moje rondo kończę. Nie brakowało do kompletu śmieszności, tylko przesadzonych pochwał ze strony pana Rońskiego, a odemnie różnych skromnych udawań, któreby jeszcze powiększały jego nad mojem granie uniesienia. Ale przecież miał takt zamilczeć i to mi się w nim niezmiernie podobało. Powiedział tylko że chociaż wszyscy narzekają na powszedność fortepianowej muzyki, on zawsze w niej gustuje i rozumie, że niekoniecznie nadzwyczajne talenta oddawać jej się powinny, gdyż i mierne bardzo granie miłem

być może w domowym zaciszu. „Pan jesteś muzykalny? zapytała moja matka. „Szczerze mówiąc, odpowiedział z uśmiechem, gram trochę na skrzypcach i na fortepianie. Jednak zwykle moich znajomych zbywam zupełnej nieumietności wymówką. Inaczej nie mógłbym się uchronić od tego popisywania się w salonach, równie męczącego dla osoby grającej, jak i słuchających. Według mnie to wyższym zdolnościom zostawione być winno, ja zaś tylko z wielką pracą pojąłem muzyki trochę, dla swojej i kochających mię przyjemności, a tym dogodzić łatwo. Gdy czasem kto inny mnie słyszy, to tylko osoby, których pewny jestem, żeby mi powiedziały wręcz jakby ich moje nudziło granie.” — Masz Pan słuszność, rzekłam śmielej, uradowana, iż ktoś inny ma zdanie memu podobne. „Jak

przykre są pochwały, któremi niemal wszyscy sądzą się obowiązani obsypywać nas po odegranym kawałku, a my mierność wykonania często sami znamy najlepiej.

Rozmowa wszechęła się żywsza, później przyszedł mój ojciec i ja nie spostrzegłam się nawet, że bytność pana Rońskiego trwała zbyt długo, na pierwszą wizytę, bo dwie godziny. Co z tego dalej będzie? czy ja zostanę panią Rońską, nie wiem doprawdy i nawet siebie zbadać nie umiem czybym sobie tego życzyła. Jednak za mąż iść trzeba, a tak kochać jak ty, nigdy nie pragnę. — Zawsze mnie przeraża gwałtowność uczucia, co ciebie tak hardą, wyższą według mnie istotę ujarzmić potrafiło i zrobić najsłabszą z pomiędzy słabych kobietą, którą jeden uśmiech mężczyzny rozweselić, jedno spojrzenie uszczęśliwić potrafi. — Ach to niegodne!

Tybyś chyba gotowa na wzór niewolnicze ze wschodnich powieści służyć mu na kolanach i znaleźć nagrodę w jednym słowie miłości niedbale rzuconem. Daruj te żarty Maryniu, ale chciałam Cię ukarać trochę za to że mi nie o panu Edmundzie nie wspominasz. Czy rozumiesz że ja nie wiem jak on głęboko utkwiał w myślach twoich? Piszesz mi o umysłowej pracy twojej, o chęci licznych wiadomości nabycia. — Wątpię żebyś długo wytrzymała w tem przedsięwzięciu, zanadto cię odrywać od czytania będzie, o nim dumanie. — Ty jego obraz zazdrośnie zamykasz w swem sercu, on ci się zawsze różnym od innych wydaje, a ja ci powtarzam, że on jest, nie mniej nie więcej, jak naszego wieku kawaler, lubiący karty fajkę, kobiety, polowanie, a siebie nad wszystko. — Jest teraz tutaj w War-

szawie, codziennie prawie koło naszych okien przejeżdżającego, go widzę. Raz nawet u nas być raczył. Nie, Maryniu, jeżeli w tem składnem ciele pana Edmunda jest dusza, to przynajmniej nie taka, którąby jakaś harmonia z twoją łączyła. Daruj, raz jeszcze Cię błagam, uwagi moje. Muszę przecież pełnić względem Ciebie obowiązki rozsądku, kiedy twój nieborak tak zagłuszony serca i wyobraźni głosami. — Ja bo, z łaski Boga, nie kocham jeszcze, dopiero, zbijając jeden palec o drugi i uważając czy się zetkną prosto, mówię sobie: kochać, nie kochać, kochać! Lecz choć skutkiem przeznaczenia naszego, na to ostatnie słowo padnie, niestety! Czyż mi cię zapewniać trzeba, że zawsze zostanę twą szczerze przywiązaną.

Wanda.

List 5 Marjy do Wandy.

10 Maja.

Jeżeli kiedy kochana Wandziu, to od twego ostatniego listu, ciągle o tobie myślę, chociaż i swoich kłopotów dosyć mam na głowie. Lecz mówmy lepiej o tem co się ciebie tyczy. Ja tak różne od wszystkich mam zdania, tak wyobrażenia inne o uczuciach, że ledwo śmiem względem oświadczeń pana Rońskiego czynić ci postrzeżenia, aby twoja matka, chociaż nigdy naszych listów nie przegląda, nie miała prawa powiedzieć na mnie: „bałamuci mi córkę.” Bo zapewne byłyby takie jej słowa, gdyby czytała to co ja piszę, że mnie się dziwnem zdaje to wchodzenie w dom już z tytułem Konkurenta i że mnie trudnoby było pokochać mężczyznę, któryby nie poznawszy mnie

pierwej, nie wiedząc czy ja powodowana uczuciem oddam mu swą rękę, już odrazu, jako ubiegający się o nią przedstawiał, dla tego, że mu tak z jego towarzyskich wypadło widoków. Jednak nie raz dobrane bywają małżeństwa, których znajomość takim wszczęła się sposobem, a więc to stósownem być musi, kiedy tak w świecie przyjęto. Po co głowę podnosić i chcieć poprawić ludzkie ustawy, kiedy oprzec się im nie mamy siły. Prawda, że nawet każda z nas ochoczo im się poddaje, kiedy przypadkiem z wolą serca są zgodne. Dziwnie bo też młode panny łatwe są do zamaż pójścia. Raz pamiętam, jeszcze przed nauk ukończeniem, bawiłam się z panienką kilka lat starszą odemnie, która już była po zaręczynach. Ale mimo to żywa, wesoła, grała ze mną w piłkę w wolanta. I

śmiałyśmy się, goniły, skakały. W tem spoglądając w okno zobaczyła nadchodzącego narzeczonego. Ach! już idzie ta nudna figura, rzekła z widocznem nieukontentowaniem. „Lecz ty go kochasz przecie zawołałam zdziwiona.” „Zapewne mówiła niedbale, poprawiając w zwierciadle warkocz rozrucony poprzednimi skokami. Chociaż mi tam ani zimno, ani gorąco, czy go widzę lub nie, ale papa powiada że to człowiek majątny, rządny i że iść za niego powinnam, bo mi się nic lepszego nie trafi.” Lubo dziecko jeszcze, bom piętnastu lat nie miała, zastanowiły mnie te słowa i długo z myśli wyjść nie mogły. Ja rozumiałam iż gorąco trzeba życzyć obecności osoby, której obiecać mamy wspólne życie do śmierci, że inaczej bez silnego, niepochamowanego pociągu, niepodobna mieć od-

wagę, tak się wiązać przysięgą na zawsze. A jednak moja znajoma, jak sama powiada, jest szczęśliwą. Posiada ją dobra o trzy mile od Warszawy, zawsze świeżą karete, piękne konie. Po obiedzie wyjechawszy od siebie, wygodnie na teatr zajechać mogą. Bywają też często w stolicy. Mają jedną córkę, znaczne dochody i choć się czasem popsprzeczą, to się pogodzą i kontenci oboje. Lecz zdaje mi się, że nie zawsze tak trafić można, że to co zadowalnia jednych, drugim nie wystarcza do szczęścia. Przykłady wskazują, jak gorzkiemi często łzami okupiona bywa ta powolność w przyjmowaniu za męża pierwszego mężczyzny którego nam przedstawia. Ciężkiemi nie raz stają się więzy z lekceważeniem przyjęte. — Dla tego też Wandziu kochana, zostaw twoim rodzicom rozważanie majątku i

znaczenia pana Roańskiego, a jego charakterowi się przypatruj. Jeżeli serce nie zrazi się tym rozbiorem i pokocha szczerze, wtenczas dopiéro nie wachaj się do ołtarza przystąpić. — Wierzę bowiem że i miłością złączone pary, nie zawsze dobrane bywają, że małżeństwo jestto loterya, w której mimo całych naszych nadziei, wątpliwa wygrana, ależ przynajmniej kiedy się kocha, jest choć rok jeden, choć dni kilka, choć chwila szczęścia, uniesień, złudzenia i te powabnym wspomnienia promykiem późniejsze lata ożywią, ubarwią. — Cóż więcej ci powiem, Wando moja? wiesz dobrze ile Cię Kocham, ile mnie twój los zajmuje. Pamiętaj że niecierpliwie wyglądam od Ciebie listu, któryby mi coś doniósł więcej o skutku zamiarów pana Roańskiego,

List 6. Wanda do Maryi.

7. Czerwca.

Jak też to drugim dobrze, rozsądnie radzić umiemy, a dla siebie tych wszystkich pięknych zapominamy teoryj, pozwól to sobie powiedzieć kochana Maryniu. „Przypatruj się jego charakterowi piszesz mi, a sama tak mało starałaś się poznać tego, który despotycznie myśl twoję owładnął. Teraz zaś już jest zapóźno, już tylko w nim widzisz ideał doskonałości. Lecz o mnie bądź spokojna. Moje serce nie taka zapałka chemiczna, powoli, z rozwagą jedynie przyjmie na siebie miłości więzy. I tak od czasu mego ostatniego do ciebie listu, pan Roański znaczne w niem zrobił postępy, ale to stopniowo. Już przecie dwa miesiące blisko jak się znamy. Bywa często u nas i po kilka

godzin przepędza. Jego grzeczność jest bardziej przyjacielska jak nadska-
kująca, dla tego też w bardzo dobrej
jesteśmy harmonii, a jeżeli się pospie-
ramy czasem, to chyba tylko dla odmia-
ny. Między nas wcisnął się promyk
uczucia cichy, jasny, pogodny, nie ta
gorąca miłość, więcej obfita w gorycz i
niepokoje, jak w uciechy prawdziwe.—
Lubo z ust pana Rońskiego żadnych
jeszcze przysiąg i zaręczeń nie słyza-
łam, jednak ufna w jego przywiązanie,
nie obawiam się dać mu moje postrze-
gać. — Nie powiem ci więc czy pójdę
za pana Rońskiego; sama uważać mo-
żesz iż podobno do tego przyjdzie, choć
jeszcze nie w tym względzie nie mowi-
liśmy z sobą. Mimo to, wszystkie na-
sze znajome przybiegają zapytywać się
mojej matki, czy prawda iż ja za mąż
idę. Gdyż aby dać powód do tej po-

głoski, dosyć jest że go u nas dwa razy na obiedzie, a raz z nami w loży widziano. Nie myślę, moja pani, aby do mnie miał się stósować przykład twojej znajomej, który przytaczasz. Ty wiesz dobrze, że twoja Wanda przede wszystkim na serce patrzy we wszystkich swych towarzyskich stosunkach a cóż dopiero w wyborze dożgonnego przyjaciela.

Donieś mi też kochana Maryniu, czy prawda co tu u nas mówią, że twój stryj zeni się z tą panną Weroniką, której fizognomia takie ci zabawne francuzkie wiérszyki przypomiwała. Lecz chociaż w rzeczy samej jej nos, zapamiętałe do brody się bierze, wątpię jednak, żeby ten nieochybnyich związek wygadana buzię zamknąć potrafił. Pamiętasz że panna Weronika była z nami bardzo czułą, lecz i to nie przeszkodzi-

ło, żeby patrząc na jej spojrzenia, nie przyszła mi myśl o oczach kota. Jak uważać możesz po tych żartach, wcale nie myślę, żebyś ty kiedy tę śpiczastą figurkę swoją stryjenką nazywała. — Nie dziwiłabym się gdyby to było jej dążnością, ależ twój stryj nie zrobi tego. Wszak ty trudnisz się domem, usuwasz od niego wszystkie pomniejszych gospodarskie zachody, więc mu już gospodyni nie potrzeba, a ja myślę że w tym wieku dla innych przyczyn nie żenią się mężczyźni. Bo przecież kiedy minie lat pięćdziesiąt, ognisko miłosnych zapalów wygasłe być musi. Piszże do mnie, moja luba, ale więcej o sobie, o tem co się ciebie tyczy wspominaj. — Może da Bóg, że się zobaczymy wkrótce, bo przecie przyjechałabyś ślubny przypiąć wianek.

List 7. Marya do Wandy.

21 Czerwca.

Co ludzie mówią to i wygadają, przynajmniej się to na moim stryju sprawdza. Gdyż Wandziu kochana lubo ty tego nie przypuszczasz, jednakże panna Weronika za dwa tygodnie będzie panną młodą, ona, co ma teraz lat czterdzieści. Pojmujesz więc jak niecierpliwie tego przeistoczenia oczekuje. Jedno francuzkie przysłowie niesie: „Co kobieta chce, to Bóg chce” ale tu chyba diabeł swoją wolę wmieszał. By ta myśl przyszła, dosyć jest spojrzeć na jej wychudłe palce które nieskończenie przypominają szpony, zjaskiemami malują straconego Anioła. Jednakowoż ja w krótkce całować będę tę dra pieżną rączkę, jako rączkę stryjenki do brodziejki. Niespodziewałaś się zapewne

wesołą w tej okoliczności mnie znaleźć. Ale cóż robić moja Wandziu? Trzeba już wmówić w siebie pragnienie tego, co się odstać nie może. W rzeczach które się mego serca nie tyczą, bardzo mi łatwo tę regułę zachować. Nie liczę tak bardzo na przywiązanie mego stryja, aby się obawiać że mi go wiele panna Weronika odbierze. Prędejj ona podobno zagrabi jakie sto tysięcy z mego przyszłego dziedzietwa. Udawać nie będę, że mnie to nie obchodzi. Wić każdy, im więcej pieniędzy tym wygodniej na świecie, tak jak ja rozumiem przynajmniej, gdyż mniej koło swego utrzymania trudnić się potrzeba. Lecz może mi to ożenienie iane jakie przyniesie korzyści, teraz mało widoczne jeszcze. Może życie moje od-tąd spokojniejsze będzie. Usunę się do mego pokoiku, utrzymywać się bę-

dę ze szczupłych dochodów, które mam po rodzicach i łatwiej oddalić się będę mogła do ciebie, do pani Wolnickiej, a to, jak wiesz, są moje jedyne uciechy. O pomyślność mego stryja więcej się niepokoję. Ja co już nie pamiętam pieśczot ojca i matki pocałunków, wdzięczną mu jestem i za tę trochę przychylności, którą mi okazuje swoim sposobem. Już piętnaście lat tak z nim żyję razem, i przywykłam być wyrozumiałą na samolubstwa starca, smutnoby mi było widzieć go dręczonym przez kapryśną kobietę. Panna Weronika nie wygląda coś na anioła. Teraz jednak wielkie okazuje przywiązanie swemu przyszłemu, nie wiem jak to dalej będzie. Pan Edmund przypisuje to rachubie, na znaczny przy intercyzie zapis i złośliwych przycinków nie szczędzi. Ażem raz urażona trochę,

bo i mego stryja dotknął, dała mu poznać, żebym tego więcej słyszyć nie chciała, i to z miną, z którejbyś była pewno kontenta. Lecz mi później żal tego było, wyjechał do Warszawy i nie pogodziliśmy się zupełnie. Och! moja Wandziu, nie mów mi o jego charakterze, mnie to wszystko jedno, ale mów mi czy on mnie kocha, bo ta pewność jest mi potrzebną do życia. Niestety! ja na nią może rachuję zanadto. Cóż mi zostanie jak ta jedyna nadzieja moje serce biedne opuści?... A on pojechał i nie zobaczę go prędko. Pojechał, nie pomyślawszy może, jak mi smutno, tęskno bez niego. O mój Boże! Wandziu powiedz, on mnie kocha!

List 8 Wanda do Maryi.

4 Lipca.

Choć mnie wcale nie cieszy żenie nie

się twego stryja, bardziej jeszcze zasmuca twa miłość nierozważna. Dotkliwemi będą ci zawody, których przewiduję doznasz w krótkce. Nie gniewaj się Maryniu, że ci to mówię, lepiej podobno pomału do bolesnej przyzwyczaić się myśli, która potem raptownie nas uderzając, trudnym do zniesienia stać się może ciosem. Jednak pozwól powiedzieć sobie, zbyt przesadzonego użyłaś wyrażenia, mówiąc że ci miłość tego Pana potrzebna do życia. Ej, moja Maryniu bądź spokojną, nie umieramy tak łatwo. Ja, chociaż szczerze lubię pana Rońskiego, nie zachorowałabym nawet gdyby mi przyszło nie być jego żoną. Ze panna Weronika jest wyrachowaną, w tej mierze podzielałam zdanie pana Edmunda, ale też bardzo przekonaną nie jestem, żeby on od tej wady wolnym był zupełnie. Mocno mnie

gniewa, że twój majątek uszczuplonym zostanie i w tak niegodne przejdzie ręce. Bo panna Weronika nie napróżno się teraz na oznaki przywiązania wysila. Ona pewno rachuje na dłuższe od twego stryja życie i chciałaby sobie napóźniej dobry byt zapewnić. Dla tego też wyciągać będzie od niego, co tylko możliwości. Ciebie będzie oszczędzać o ile jej zamiarom nie staniesz na przeszkodzie. Ale wierz mi, jeżeli choć mimowolnie zawadzać jej będziesz, całe twoje dla niej uszanowanie nic nie pomoże. Jej nienawiść będzie pewną i dla ciebie szlachetnej, nie pojmującej podstępów chciwości, bardzo dokuczliwą podła drobiazgowa zemsta niskiej duszy. Zemsta! a kiedy ja jej nie zrobię nie złego, powiesz mi. Wiem o tem dobrze, moja kochana, poczciwa Maryniu, ale ona mścić się na tobie go-

towa za to, czegoś niewinna bynajmniej. Ją gniewać będzie, żeś ty twego stryja dziedziczką, że on ci czasem kilkanaście Złotych ze swojej da kieszeni i różne tym podobne drobnostki. Dziwi mnie tylko, że już rzeczy tak są daleko posunięte, a ty nie temu zapobiedz nie mogłaś. Przecież mi nie powiesz, że i starzy ludzie są podlegli raptownym, niepochamowanym sympatiom, jeszcze do takiej, jak p: Weronika, Sylfidy. Musiała ona sztucznie zastawić swe sidła, że w nie tak głęboko zaplątał się twój skąpy stryjaszek, a ty nie dorozumiewałaś się niczego, kochana, albo przynajmniej o podstępie i myśł ci nie przyszła. My tu teraz różne mamy wiadomości, jak stopniowo przysposobiano twego stryja do małżeńskiego stanu. Boję się nawet czy w jego umyśle, nie starano się tobie zaszkod-

dzić. Ale z całym twym rozumem tak
 trafnym, kiedy z obojętnego uważa sta-
 nowiska, za nadto masz szlachetną du-
 szę, aby domyśleć się coś tak niskiego,
 aby z poczynionych na ludziach spo-
 strzeżeń we własnym interessie korzy-
 stać. Wierz mi Maryniu, tyś na Au-
 torkę stworzona, pisać powinnaś ko-
 niecznie. Ty masz charakter poetów.
 Oni wzniósłszy się duchem nad poziom
 społecznego życia, widzą wszystkie u-
 łomności ludzkie, różne rostopności
 drogi wskazują, lecz gdy o nich samych
 idzie, nieskazitelność dusz nie przypu-
 szcza złego, głosu rozumowań słyszeć
 nie daje. — Kończę kochana Maryniu
 całując Cię naprędce, gdyż mi niedługo
 znowu pisać do Ciebie wypadnie, albo
 też i samęj zjechać do Państwa, jak mi
 to obiecuje mama.

List 9 Wanda do Maryi.

1 Sierpnia 1833 r.

Wszak to już rok minął jak ty ostatni raz do mnie pisałaś Maryo. Właśnie przeglądałam listy twoje tak zawsze piękne, gładkie, tak miłe dla mnie, które starannie chowam pomiędzy najdroższymi dla mego serca przedmiotami. Ostatni jeszcze z daty 21 Czerwca zeszłego roku, wesoło, żartobliwie małżeństwo twego stryja mi oznajmuje.— Od tego czasu już i ono przyszło do skutku i wiele innych poczyniło się odmian, i już ze sześć upłynęło miesięcy, jakem cię raz ostatni na moim ślubie widziała, a ty i słóweczka do mnie nie nakreśliła. Czyż już swoją kochaną Wandzią być przestałam, że mi się nie zapytasz nawet: Czyś szczęśliwa? czy ci tam dobrze gdzie jesteś? Oj! daleko od

matki; od ciebie, smutno mi trochę, powiem ci szczerze. A ty jeszcze jakbyś się mnie wyrzekła, jakbyś mnie już nie chciała znać wcale; nic a nic nie piszesz. Niedobra! Takbym cię też rozgniewać, zadąsać pragnęła, aby cię móżdż nie kochać więcej. Ale nie, wolę raczej pisać do Ciebie, wolę poprosić. Nie zapominaj o twój — Wandzie.

Mój mąż, który przyszedł pilić mnie że poczta wkrótce odejdzie, poleca się Twojej przyjaźni.

List 10. Marya do Wandy.

29 Sierpnia 1833 r.

Tłumaczyć się dla czego do Ciebie niepisała tak długo, mówić ci jak często myśl moja z tobą była, zbytecznem znajduję. Czyżto kobietę upewniać trzeba, że w sercu kobiety raz powstałe nie

wygasa uczucie. A ty nie jesteś, moją pierwszą jedyną przyjaciółką? Któż mnie kocha, któż mnie kochał kiedy mocniej, trwałej, bezinteresowniej, jak ty, powiedz? Ty to wszystko wiesz dobrze, tyś zrozumiała, że mnie więcej potrzeba pisać do Ciebie, aby wynurzeniem ulżyć strapionemu sercu, jak tobie czytać utyskiwania, żale, które się mimowolnie wymkną sierocie, tobie otoczonych staraniami i przywiązaniem męża, mającej do kochania dobrą matkę, młodsze siostry. I mimo to wspomniałaś o mnie unikając bolesnych ran dotykać. Oh! dziękuje ci. Tyś pojęła, że ja cierpiąc wiele, milczeć wolałam, że nie chciałam kłócić twego szczęścia, narzekań wyrazami. Bo i cóż ci powiem, ja co mocy duszy mając tak mało, schyliłam głowę pod ciężarem zmartwień i tylko cisnę jedną rękę do piersi,

by ją zbyt gwałtownie smutne nie wznosiły wspomnienia, a drugą usta przymykam, żeby czasem nie wydały głuchego jęku boleści. Choć słaba ale harda kobieta nie chcę się poniżyć nawet okazaniem cierpienia.

Moja stryjenka, jakieś to przewidywała słusznie, niczego nie oszczędza do uczynienia mi obrzydłym swego domu. Dla czegoż mnie oddalić pragnie? ja jej zawadzam tak mało. Mam teraz pokoik w officynie i rzadko kiedy z niego wychodzę. Lecz gdy kto z gości, przyjechawszy ją odwiedzić, o mnie się zapyta, przysyła po mnie, obypuje tysięcznemi pieścizotami, wyrzuca że nie lubię jej towarzystwa, utyskuje że jest tak nieszczęśliwą i mimo najlepszych chęci, żadnego do siebie przywiązania wzbudzić we mnie nie może. Wtenczas jestem jej Marynią, Mary-

nieczką. Ach to szkaradna, obłudna kobieta! jak nią pogardzam, wyrazić trudno. Wolałabym podobno żeby mnie biła, a biła otwarcie. — Mój stryj tak despotyczny, kapryśny dawniej, teraz zupełnie jej przemocy ulega. Ona mu zawsze jakoś swoją wolę narzucić umie i utrzymać w przekonaniu, że to on zawsze jest panem i wszyscy tylko robią co on każe. Tym też więcej ujarzmiła mego stryja, bo wysoko miłość własną jego podniosła. Zdaje mi się że kochająca kobieta nie miałaby tej zręczności.

Donieś mi też Wando kochana, co tam porabiacie? Powiedz twemu mężowi, że to szkaradny ten jego urząd który nas tak oddalił. Mało widziałam pana Gustawa, uważałam jednak żeście dla siebie zrodzeni, a dobranej parze

szcześnie się uśmiecha. I tego wam z serca życzy.

Wanda.

List 11. Wanda do Maryi.

20 Września 1833 r.

Wystaw sobie co za nieznośna pocztą! dopiero we dni dwadzieścia, to jest 18 Września, twój list odebrałam, list wyglądany tak dawno. I ja ci dziękuję Maryniu, żeś nie przypuściła nawet, abym myśleć miała, że ty zapomniałaś o mnie. Tak w rzeczy samej, byłby to z mej strony, słaby przywiązania dowód gdybym o twém sercu zwątpiła. Miłości zostawmy wiarę mocną i powątpiewania naprzemian po sobie następujące. Przyjaźń cicha nie tak gwałtowna, ale trwalsza, nie podlega też tym wybuchom któreby ją nadwreżyc mogły.

Przyznam ci się jednak, że się obawia-
 ła chwilowego od ciebie zapomnienia,
 widząc cię tak głęboko dotkniętą za-
 wodem, którego twe serce doznało. —
 O! czemuż nie mogę być przy tobie, aby
 cię z macierzyńskiem uczuciem objąć
 rękoma, aby przytulić do mych piersi
 twę stroskaną główkę i powiedzieć ci:
 Biedna kochana! moje łzy gorące tło-
 maczyłyby ci lepiej jak rozumiem twe
 cierpienia, jak cierpię z tobą. Lecz słu-
 chaj, już wszystko skończone. Już pan
 Edmund żonaty od kilku miesięcy; wie-
 dzieć o tem musisz. Tę żonę upatrzył
 sobie niedawno, jest bogata jak mówią.
 Od ciebie zaś oddaliło go ożenienie się
 twego stryja, które tak znacznie nadwe-
 rżyło twój majątek. Pierwój uważał,
 że jesteś dobrą partją, i byłby się mo-
 że z tobą ożenił, gdyby nie jego częste
 wachanie się, patrząc w towarzystwie

na majątniejsze kobiety. Wysoka próżność zaraz go, o łatwym zeskarbieniu przychylności każdej z nich, upewniała. Mimo to lubił cię trochę, gdy ożenie twego stryja nastąpiło. Domyślił się, że wiele na nim wyłudzi przebiegła kobiéta, i to ci odjęło największy powab w jego oczach. W tém nastęczya mu się pięćkroć sto tysięcy do wzięcia razem z głupiutką, a ztąd jak mniema słodziutką panną. Wtenczas już się nie wahał opuścić cię tym bardziej, że on zawsze względem Ciebie zachował sobie bezpieczeństwo odwrotu. By cię nie kompromitować, czyli raczej siebie nie plątać bardzo, rzadko bywał u was, wielkich ci grzeczności przy drugich okazywać unikał. Rozumiem że ty, kochając go tak silnie, nie dostrzegałaś wszystkiego. Ale teraz, kiedy już zdarła zasłona, uwagi te niech ci posłużą do

wykorzenia niegodnego siebie uczucia. Może też inny jaki szlachetniejszy mężczyzna wynagrodzi cię szczerą miłością. Obyś mogła w dobranem małżeństwie znaleźć tak jak ja życia spokój! —

Już przywykłam trochę do pobytu w naszej gubernialnej stolicy. Nie nudzę się, choć mało znajomości zabrałam. Mój mąż pełen dla mnie przywiązania i delikatności. Ciągłe prawie jest ze mną, o ile mu jego obowiązki pozwalają. Kalisz miłe miasto, nowewi zdobiące się gmachami i za najpiękniejsze po Warszawie, w Polsce uważane. Towarzystwa w nim przyjemne, amatorów muzyki i butelki pełno. Do moich najlepszych znajomych, należy córka pisarza komory, która mieszka bardzo blisko w Szczypiornie. Kochana panienska, straciła niedawno starszą siostrę

już zaręczoną z młodym obywatelem z okolicy. Biedny młody człowiek! znam go także dobrze, ale słowa pociechy, rozweselenia znaleźć dla niego nie mogę, widząc go głęboko dotkniętym stratą niepowetowaną; chociaż ją wielu łatwą do wynagrodzenia mniema. — Widzieć się rozłączonym śmiercią od istoty, na którąśmy wszystkie nasze zleli uczucia, której dusza tak się z naszą złączyła, że przedsięwzięły odbyć razem życia pielgrzymkę; — Widzieć prawie tę jej duszę ulatującą i nie móc jej zatrzymać, nie móc z nią razem winne wznieść się krainy, to okropne! To trudniejsza do ukojenia boleść, jak kiedy niestałość jednej strony, staje się rozłączenia przyczyną. Wtenczas się ma hardość na pomoc, wtenczas postrzegamy naszego serca pomyłkę i nie tracimy nadziei znaleźć godniejszą miłości

osobę. Porównaj się z tym młodym człowiekiem Maryo, a jeżeli sprawiedliwą być zechcesz, przyznasz, że on nieszczęśliwszym od ciebie. Wierz mi, nie jedna kobieta, podobne twoim przeszła cierpienia, a teraz w rozsądnych związkach pokój i pomyślność znajduje. Mam nadzieję że czas uchodząc i na twoim umyśle wywrze swój wpływ zbawienny, a nikt tego goręcej życzyć nie może jak twoja

Wanda.

List 12. Marya do Wandy.

2 Listopada 1833 r.

Ty zawsze masz słusność Wando. Aby ranę zagoić, należy pierwiej z niej jad wycisnąć. Tym jadem w mojem sercu, jest o nim wspomnienie. Tak jest, mów mi o nim, oswój mnie z tą

myśla, że on dla mnie stracony na zawsze, że już ma żonę. — Jego żona! ja ją nie nawidzę, tę kobietę, co mi w drogę weszła, co mi wydarła najdroższe mych młodych lat marzenie, miłość pierwszą jedyną, miłość ostatnią. Bo moje serce już wycieńczone na tej próbie, już sił nie ma, aby kochać jeszcze. Dosyć mam tego. Dla mnie dobrały się same tylko gorycze uczucia. O! moja Wando, jeżeli kiedy córkę mieć będziesz, zwróć baczną uwagę na pierwszą książkę, która jej w rękę wpadnie. Ona może czasem szkodliwszy wpływ wyrzucić na jej młody umysł, niżby mógł mieć na jej zdrowie jaki pokarm zatruty. Bo te książki, te książki! ty nie pojdziesz, jak one mnie odarły ze wszystkich uciech moralnych. Według mnie, tylko kobieta, co już kochała, dzieła szalonej literatury francuzkiej

czytać może, jeżeli jeszcze czem lepszym zatrudnić się nie ma lub nie umie. Dla młodych świeżych wyobraźni są one ponętym lecz jadowitym kwiatem. Żeby przynajmniej wskazując charakterów ohydę, tłomacząc pobudki uczuć, rozstrząsając sceptycznie święte serca tajemnice, zabezpieczały od ludzkich słabości. Ale nie, tym silniej objawia się potrzeba kochania, chociaż wszędzie widzimy tylko fałsz, obłudę, interesowność, chociaż zdaje nam się że już w nic dobrego i szlachetnego nie wierzymy. Wymarzony ideał uosobiamy w pierwszym lepszym mężczyźnie, na którego widok lice się nasze zapłoną. I czy doznając wzajemności wplączemy się w małżeńskie związki, czy też prędzej jeszcze, zawsze zawód nastąpić musi. Uczucie nie jest już dla nas kwiatem, ozdobą życia, serce w ca-

łej jeszcze sile, niewypowiedzianą na-
 pełnia się goryczą. O! niechbym była
 okrutniej oszukana została, a niechby
 tę miłość moję zdobyły pierwszej miło-
 ści cechy. Wiara, ufność bez granic,
 niepomiarkowana szczęścia nadzieja.—
 Nateraz te rozkoszne chwile ułudy, by-
 łyby zostały dla mnie drogiem wspo-
 mnieniem, byłabym użyła słodczy u-
 czucia, nie utraciwszy drogiego skarbu
 wiary dziecińskiej, świeżości i niewinno-
 ści myśli. Gdy tymczasem zawsze po-
 dęjrzliwa, niewierna, odpychałam złu-
 dzenia i ulegałam im na przemiany. —
 Cóż mi teraz pozostało? serce oschłe,
 przekwitłe, które drażni silna młodością
 wyobraźnia.

Spostrzegani przez okno idącą do
 mnie stryjenkę. Cóż ją tak rano do
 mnie sprowadza? nie wiem. Wiem tyl-
 ko żeby chciwemi oczyma zaraz list ten

przebiegła. Zamykam go więc. Resztę później ci napiszę.

Nie domyśliłabyś się nigdy, co dla mnie ta kochana Stryjenka wymyśliła za szczęście. Oto męża, a jakiego, słuchaj tylko: Pan Moicha nasz sąsiad, gospodarz dobry, choć tylko dla siebie, ma trzy wioski i oto wszystko co na jego pochwałę powiedzieć można. Chciwy, pragnący największą z każdej rzeczy ciągnąć korzyść, więcej szanuje swe bydła, jak swoich włości, bo ci choć umrą, kupować drugich na ich miejsce nie trzeba. Za każdą więc małą niepilność bije robotników zmęczonych, którym ledwo cztery godziny nocy do wypoczynku zostawia, bije ekonomów, włodarzy za to, że opieszale dozorcując ludzi nie biją, a czasem jak powiadają w okolicy bije nawet i żonę, jeżeli będąc świadkiem opóźnienie w ro-

bocie bić znowu nie każe. Cóż mówisz na tę taktykę gospodarską, w której bicowanie główną manewrą? Pan Moicha w krótkichby wyrazach nie zrównaną ci jej wyższość skreślił, odpowiadając zwycięzko na jakie filantropiczne uwagi twoje: „Wszakże tym sposobem trzy wsie zarobiłem uczciwie.” — Uczciwie! jestto jeszcze problemat jak mówią znajomi. Wspominają o procesach zawsze korzystnie ukończonych, o wysokich procentach tak ułożonych, że grabienia majątku nadawały prawo a to wszystko niekoniecznie się zgadza z surowemi téj cnoty przepisami. Małżonka pana Moichy, z którą się żeniąc lat temu piętnaście zrobił najlepszą spekulacją jaka mu się dotąd udała, kobieta dość poważna, córka jakiegoś Warszawskiego rzemieślnika, potulna, nawykła dobrodusznie do wszy-

stkiego, umarła niema temu dwóch miesięcy. I wyobraź sobie, mną jej miejsce zastąpić unyśliła pani Stryjenka. Bo nie spodziewam się, żeby moja osoba tak bardzo sąsiadowi do gustu przypadła. Widać w tem tylko intrygę expanny Weroniki, która jakim bądź sposobem, chce mnie się z domu pozbyć. A jeżeli mu tylko w posagu odstąpią pograniczne z jego wioskami łąki, na które oddawna ma chrapkę, gotów i na zaślubienie mnie przystać, rachując że mnie z czasem po swojemu wykształcić potrafi. O! moje biedne plecy! aż drżą na bolesławowskięj łaźni wspomnienie, która jak mówią ludzie, spowodowała śmierć pani Moicha. Lecz to bynajmniej nie martwi godnego jej małżonka. Bywając u nas podczas jej choroby zwykł był narzekać: „Zle mi też to będzie bez niej, ona tak już dobrze tryb

— 19 —

mego gospodarowania pojęła, z domu nie oddalała się nigdy, a jeżeli na tamten świat się wybierze, trzeba będzie bonę przyjąć do dzieci, gospodynię na folwarku osadzić. Tu zaś i tak wychodów ogrom. Płać tylko i płać zawsze. Teraz tyle lekarstw kupuję, może jeszcze na nic się nie przydadzą.” Kiedyśmy kilkoma słowy pocieszyć go usiłowali. „No i cóż robić? mówił z rubasznym śmiechem. Ona umrze będzie insza. Ba! i piękniejszej i bogatszej dostanę.” I tą inszą, tą bezpłatną szafarką, tym psem domowym do pilnowania jego dzieci i spiżarni, tym drugim wołem do ciągnięcia gospodarstwa pługu, który za ciężki na jednego, to ja mam być, cóż ty na to mówisz Wando? Ja śmieję się szczerze i dzięki temu aż zdrowszą, weselszą jestem.— Stryjence nie odpowiedziałam stanow-

czo. Powoli chcę ją przyzwyczaić do mojego względem tej kwestyi postanowienia. Miarkuję że jej nie w smak pójdzie. Ciebie kochana Kaliszanko moja, całuję serdecznie.

List 13. Wanda do Maryi.

26 Listopada.

Cieszę się, że przynajmniej raz godna Stryjenka w dobry cię humor wprowadziła. Ale ztąd zupełnie przeciwnie, jakby to ona uczyniła, wnioskuje niepomyślną dla niej odpowiedź, chociaż mi nic nie wspominasz jaką będzie. — Rozśmieszyła mnie komicznie skreślona figura narzeczonego pana — czekaj aż w tym liście wysylabizuję jego potworne nazwisko. Otóż tedy pana Moichy. Ale cóż znowu za ale, ofukniesz się zepewne. Ale, powtarzam, pozwól

jeszcze jedno uczynić sobie zapytanie, czy czasem twój żywy dowcip, co tak łatwo śmieszna stronę wszędzie odkrywa, tą razą podsycony złościwością, nie przesadził obrazu? Zameęcie jest jedynym dla Ciebie sposobem opuszczenia przyzwoicie domu stryja, tak ci teraz przykrego;— nie należy więc lekkomyślnie odrzucać partyi, która ci się przedstawia. Ten pan jak widzę nie w pierwszej młodości, co tym lepiej, bo szacunkiem, przyjaźnią kontentować się będzie, a we wszystkim co ludzie mówią, zwykle i połowy prawdy niema.— Potem co mi powtarzasz z mowy pana Moichy, widzę że to człowiek nie idealista, nie romantyk, ugania się za najlepszą podobno rzeczywistością, świecąca i brzęcząca. Nie zechcesz zaprzeczać, że i ty także lubisz pieniądze, z tą różnicą tylko, że aby ich używać, on

zaś aby je zbierać i na nie patrzeć. — Gusta macie więc podobne, a jak ty zechcesz, to tak rzeczy pogodzić potrafisz, że oboje kontenci będziecie. Jeżeli by on zbierał, abyś ty dla swojej wydawała przyjemności, cóżby ci to szkodziło? A często tak robią starzy skąpey, którzy młode żony dostają. Zważ to wszystko kochana Maryniu nim stanowczo powiesz, nie, i donieś mi jak najprędzej, jak się skończy cały interes. —

List 14. Marya do Wandy.

15 Grudnia.

Dziękuję ci całym sercem za czynione mi uwagi Wando kochana, bo widzę, jeszcze dobrze nie znasz mego sposobu myślenia. Ja rozumiem małżeństwo, albo z miłości, a tej już dla ni-

kogo moje znękanie zużyte serce mieć nie potrafi, lub też z ambicyi, z potrzeby, aby mieć jakiś stopień, jakieś znaczenie w towarzystwie. Jest to niejako sprzedać swoją osobę za honory, tytuły, bogactwa. Handel uczyniony w świątyni Boga, z błogosławieństwem księdza i poklaskiem ludzi. To jednak uświęcone zwyczajem, przyjmijmy je za dobre, zresztą nie raz powody dokładnie wiadome, z łatwością może usprawiedliwićby dały to, na co się oburzamy najbardziej. Lecz powtarzam, jeżeli się sprzedawać mamy, sprzedajmyż się wysoko. Bo żeby dla samego czepka tylko, dla tytułu mężatki, iść za człowieka którego się nie kocha, nie, tego nie zrozumieć nigdy. Ja myślę, że aby łączyć się na całe życie, mało jest nawet trochę przyjaźni, a cóż dopiero kiedy jej niema wcale, kiedy się czasem

jeszcze miesza pogarda lub lekceważenie. W związku małżeńskim, pozbawionymi będąc uciech serca, szukamy w innych korzyściach wynagrodzenia, a ja gdziebym je znalazła, idąc za głupiego sknérę, który żadnego wyobrażenia nie ma ze mną wspólnego, któryby z obawy wydatków, najlichszej rozrywki mi odmawiał. Człowiek z nie-najlepszą u ludzi opinią, z nazwiskiem któremu nie jeden ubogi złorzeczy, a mnieby nosić je przyszło. Wszak naród, na imię uważają podobno w świecie przed zawarciem małżeństwa. Przypominam ci to, z obawy, żebyś czasem przez przyzwyczajenie i tych uwag moich wyobrażeniami romansowemi nie nazwała. Ty Wando, chcąc mnie na Edmunda oburzyć, mówiłaś: „On się chciał z tobą żenić dla pieniędzy.” Moja Wandziu choćbym była o tem prze-

konaną, z radością złożywszy w jego ręce, miliony nawet, żebym je posiadała mimo wszystko zostałabym jego. Bo widzisz, on moje serce, moją myśl napełniał, ja go potępiać ani sądzić nie mogłam. Choćbyś mi była przedstawiała: „On gracz, rozrutnik.” — Ale ja go kocham, odpowiedziałabym ci. — „On okrutny, nieludzki, niencyzynny, nie ma przyjaciół w świecie.” — „Ale ja go kocham mówiłabym jeszcze. — „On cię uczyni nieszczęśliwą.” — O! nie, nie, ja go kocham.”

I kiedy serce tak gwałtowną namiętnością wstrząśnięte jeszcze drga nieuspokojone zupełnie, ja się mam skutkiem nędznego wyrachowania rzucać w objęcia tego człowieka. Jeszcze żeby miał lat drugie tyle więcej i poprzestał być moim ojcem tylko, wtenczas potrafiłabym być wdzięczną, powolną.

Lecz przestańmy już o tem mówić, ty go nie znasz Wando, ty myślisz, że każdej kobiecie przedstawia się mąż godny, tkliwy, pełen delikatności uczuć, jak twój. Stryjence już nadmieniałam, że mi się związek małżeński z panem Moichą zupełnie nie podoba. — Wątpi jeszcze, aby to moje nieodzowne miało być postanowienie, i namyślać mi się każe. Widzę iż z tego powodu wiele mi znieść trzeba będzie. — Ale cóż robić? trzeba przyjmować przykrości tego życia, kiedy ono dla niektórych ze wszelkich uciech i radości odarte, bywa tylko pasmem cierpienia. Żegnaj cię moja Wandziu, kochaj zawsze

Maryą.

List 15. Marya do Wandy.

6 Lutego 1834 r.

Twój kochany mąż kilka dni temu, oznajmił mi urodziny waszego synka. Lubo mu zaraz odpisałam, tobie jeszcze serdeczne podziękowanie mu za miłą wiadomość polecam. — Rozumiem twoją radość, ja co się sama tyle cieszę z tej małej istotki, co mi do kochania przybyła, i która mnie też kochać będzie, spodziewam się, wszak to syn mojej lubej Wandy. Napiszcie mi też jakie mu imię dacie. Niech wiem jak go w mych myślach mianować. A marzę o nim tak często. Wystawiam go sobie dorosłego, godnego ojca i matki, celującego w tém wszystkim, co zdobi człowieka. To znowu aż z trwogą odrzucam te marzenia, żeby one, jak to wszystko co ja sobie roję, nie były tyl-

ko zamkami na lodzie. O! moja Wando, pamiętaj zawsze, jaka jest odpowiedzialność wasza przed Bogiem i ludźmi za tę istotę, którą świat pomnożyliście. Czuwaj, już nie mówię, bacznie, ale przynajmniej zarówno nad jego pięknoscią moralną, jak fizyczną. — Matki po większej części staranniejsze o kolor włosów swych dzieci, o białosć ich cery, martwią się gdy je piegi pokryją, gdy ich palce nie dość spiczaste, mało zaś na ich umysł zwracają uwagi. Tymczasem nieraz nieszczęście lat późniejszych gotuje się w pierwszych zasadach i wrażeniach które odbiera dziecię. Gdy chodzić zaczyna, starannie za pomocą pasków, kierują jego niepewne kroki, ciało przeciwko chorobom różnemi wzmacniają sposobami, a duszę czyż wzmoćnić pamiętają, kiedy zaczynając życia pielgrzymkę, zacierą cieka-

wem okiem w świat który ma przed sobą. Człowiek, srodkując między Niebem a ziemią, błądzi często, mimo wewnętrznego głosu, oburza się na postęпки ludzi choć w istocie od nich nie lepszy. Nie potrzebujeż on więc, od tych co już oswojeni z życiem, wsparcia dla tej nieśmiertelnej części swojej, która, jak wędrowiec wspomnienie z dopięro co opuszczonej rokosznej krainy, zachowuje w sobie niepewny, nieokreślony obraz pierwotnej doskonałości. U jednych on jest wyraźniejszym, u drugich zatartym i z tąd pedagogowie mówią: Człowiek rodzi się z dobrymi lub złemi skłonnościami. Gdyż jak wytłomaczyć inaczej to zamięlowanie wszystkiego, co jest dobrem i szlachetnem, okazujące się w jednych, gdy przeciwnie drudzy są zakałem społeczeństwa, szkodliwym przykładem i czynem. —

Niezaprzeczoną także jest prawdą, że na nasz charakter wpływa wychowanie, ale jak mało osób rozumie ten obowiązek, we właściwym moralnym jego znaczeniu. Ci co u nas kochają najbardziej, mało zwykle dają na to uwagi, aby tak od razu nie zubożyć duszy naszej zawczesnem i raptownem wydarciem wyobraźni, jęj woniejących niewinnością i młodością ułudzeń. Jeszcze mówić dobrze nie umiemy, a już uszy nasze uderzają opowiadania różnych zbrodni, występków, podłości. W salonach, po których bardzo młode mi prowadzają nas tak niepotrzebnie, uważamy chytróść, obłudę. Potem, chciwi wiadomości chwytamy za książki, a najwięcej za te które traktują o człowieku i jego uczuciach. Czytanie dzieł podobnych, przykłady które mamy przed sobą, czynią nas podejrzliwymi, bie-

głymi bez doświadczenia. Obfita wyobraźnia tworzy sobie rozkoszne krainy, do których się chronić lubi, trapią nas niepokojem wzburzone namiętności. Taki stan duszy, wiele goryczy na życie nasze rozlewa. Wtenczas kobieta ucieka się do miłości. Czy jest szczęśliwą, masz zemnie przykład. Mężczyzna tracąc wiarę w ludzi, i w Boga wierzyć przestaje. Przeznaczony do starania się o byt materyalny, w ulepszeniu go dla siebie największą znajduje rozkosz. Jeżeli niemożność dostąpienia sławy, dostojęństw, tytułów, ambicyą jego pokromi, wtedy całe obróci starania na zgromadzenie pieniędzy, aby próżności dogodzić. W krotce i na sposoby zyskania ich uważać nie wiele gotów. — Chciwość tak blizką jest podłości. — Nie zżymaj się moja Wando na ten obraz, wiem ja że nie wszyscy są tacy. —

Ale przyznaj także jak mało wyjątków. Oby twój syn do ostatnich liczby kiedyś należał. Może mój list tym mocniej w podobnej chęci ugruntować cię potrafi i razem z potrzebą stopniowego i baczego oswajania z życia cierniami, twego lubego dziecięcia, przypominać ci będzie przywiązanie które ma do niego i ciebie

Marya.

List 16 Wanda do Maryi

2 Kwietnia.

Twego ostatniego listu dosyć się przeczytać nie mogliśmy, droga Maryo. Z zadziwieniem pomieszane uwielbienie mego męża, któremu pierwszy raz dałam czytać twoje pismo, przekonało mnie jak mało wydajesz się taką jaką jesteś, i że może ja jedna tylko znam całą anielskość twój duszy i głębokość

twego rozumu. Już na cię nienalegam abyś nie miły zawarła związek. Tak, tyś warta znaleźć lepszego, godniejszego człowieka, Maryo kochana. Mój mąż z zapalem takiego mi dla ciebie prorokuje, a ja życzę z głębi serca. Życie które moralnie uważając, tyle samotne prowadzisz, nawet na twoje zdrowie szkodliwy wpływ mieć może. Biedne twe serce ścieśnia się i zamyka, czując siły z którymi nie ma co robić. Rozmyślasz tylko, kwasisz swój humor i głowę bólu nabawiasz. Nieprawdaż. Maryniu, mam słuszność, tobie czynnego życia potrzeba. Gdybyś była tak jak ja żoną, matką, tobyś myśleć nie ledwie nie miała czasu. I teraz mój synek który ojca imię dostał, głośnym płaczem upomina się u mnie o swój chleb powszedni. Zegnam cię więc i całuję. Mój duży Guccio, radby to sa-

mo uczynić, ale nie śmie, a mój mały Guccio śmiałby, lecz nie umie. — Zobaczysz jednak że łatwo się tego wyuczy i wkrótce o Manini mówić będzie.

List 17. Marya do Wandy.

13 Sierpnia 1834 r.

Zgadnij Wando, z kąd ten list do ciebie piszę. O nie, nie! nie zgadniesz nigdy, muszę ci więc powiedzieć: jestem w klasztorze. Ale poczekaj trochę nie dziw się, nie wykrzykuj, daj mi czas powiedzieć, że choć w zakonnych murach, zakonnica jednak nie jestem i nigdy nią nie będę. Mieszkam tylko u Panien Bernardynek, płacąc za małe dwa pokoiki, które mi odstąpiły. Wiele osób dziwi się temu, dochodzi przyczyn które mnie znagliły do opuszczenia domu stryja, ale tobie czyż je po-

wiedzieć potrzeba? Domyślisz się, że już dokuczanie musiało być wielkie, kiedy mnie do czegoś podobnego zmusiło. Mnie co się tak rzadko na stanowczy odpór zdobędę nie przez brak odwagi, lecz dla miłości spokoju. Tę razą jednak wrodzoną ociężałość otrząsnąć musiałam. Prześladowanie żony mego stryja było ciągłe, szczegółowe, nieustające, tym więc dokuczliwsze jak nienawiść otwarta. Było ono jak tyśiączne ukąszenia drobnych owadów, tak przykre w południowych krajach. Otóż dom mego stryja stał się dla mnie gorzej w tym względzie, jak wszystkie Antylskie wyspy, a jego żona dokuczliwym skorpionem przed którym umykać musiałam.

Jestem tedy w Klasztorze. To życie ciche, jednostajne, nie jest dla mnie bez powabu. Uważałam kilka młodych

zakonnice, które mimo że nie wstąpiły z mocnej wiary, ani też z powołania, zdają się jednak dosyć z swego losu kontente. Szczęśliwe są doprawdy te ciche dusze, któremi żadna burza życia nie wstrząśnie. Jestże to u nich jakaś wyższością duchowej organizacyi, lub też tylko brakiem czucia? Ja jeszcze bym się bała tak związać zakonnemi ślubami, nie wiedząc czybym dosyć wiernie, bez żadnych wspomnień światowych Bogu służyła. Najbardziej mię od klasztoru odstręcza to, że po większej części zakonnice są nieukształcone, a ztąd swarliwe, gadatliwe, ciekawe. Rzadko kiedy do oświecześniejszych klass społeczeństwa należą. Panny z posagiem łatwo znajdują takich co im wybijają z głowy wszystkie myśli klauzury, ubogie tylko najczęściej zamykają się dobrowolnie, aby mieć jakiś stan, spo-

sób do życia. Nieszczęśliwe zaś, które z rozpaczcy zapięrają się świata, nie raz żałują i tęsknią kiedy już jest zapóźno. W naszym klasztorze jedną tylko uwielbiam kobietę. Biędna, której już nic na świecie do kochania nie pozostało, z całym zapalem niewycieńzonego umysłu kocha Boga. Jej w nim ufność jest bez granic, jej słodycz, cierpliwość nieprzebrana. -- Uważam ile prawdziwa pobożność czyni nas podobnymi do tego, który nas na swój obraz stworzył. Patrząc na spokojność duszy, której ta kobieta używa, na wzniosłość jej charakteru, powtarzam z Chateaubriandem: „Błogosławieni, trzykroć i czterokroć razy błogosławieni ci co wierzą.” A ja czyż zdolna jestem wznieść się duchem nad to wszystko co mi bolesnego było w życiu? O! nie. Słaba istota nadzieją i powątpie-

waniem na przemian miotana, czasem wyciągam ręce, wznoszę w niebo błagalne oczy i znowu bluźnię niewiarą. Czemuż ja jestem taką? czemuż jak te inne kobiety z podobną im powolnością kolei życia nie przyjmuję, czemuż bardziej jeszcze zżymam się na ustawy ludzi? Och! bo czyż nie jestem tak w świat rzucona aby zakosztować wszelkiej gorczy, jaką te ustawy w sobie mieć mogą. Przyznaj sama. Niemając prawie żadnego majątku, dotąd na łaskę stryja patrzeć musiałam. Cicha, powolna, wszystkie urazy zapomnieć się starająca, mimo to straciłam jego względy.— Jedyny sposób zapewnienia sobie jakiegoś cienia niepodległości znalazłam, usuwając się w duszną celę klasztoru i pozbawiając się tysiącznych najulubieńszych wygód, aby módz na spłacenie tych dwóch kryjówek wystarczyć. Ze-

— 39 —

bym była poszła za mąż, być winną wszystko mężowi! nawet nędzne obuwie nosić z jego otrzymane łaski, którąby może w chwili nieukontentowania wymówił.... Och! wdzięczność — trudna cnota, kiedy jej przedmiotem dary pieniężne.... Te pieniądze, czyż je mogę zarobić sama? czyż przystoi aby kobiéta z potem czoła, w przychylniej człowiekowiziemi, kawałka chleba szukała. Mimo trudów i pracy, jakby mi się roskosznym wydawał chleb taki, którybym nikomu nie była winną, tylko sobie, sobie!... Lecz kobiecie w jakimkolwiek bądź względem świata położeniu, pracować w większym obrębie nie pozwalają tem obrzydłym wyrażeniem: nie uchodzi. Och!.... ale uchodzi żeby były nieszczęśliwe, żeby łzy wylewały, żeby ich oszukiwano, potwarzono, żeby im wymawiano ich słabość fizyczną, ich

potrzebę wzywania mocniejszych pomocy. Żeby wśród łajań i przymówek czyniono im gorzkim, nędznego życia, utrzymanie, które zawsze od drugich są skazane odbierać. Czyż je tak skłonni są sędzą do złego, że dla nich lękają się odosobnienia? Wszakże kobiety najbardziej strzeżone, krępowane ustawami towarzyskimi, błędzą zwykle najwięcej. Nikt podobno nie upilnuje tej, co nie ma wzniosłych uczuć i górującej nad słabościami serca, hardości. Hardość jest stróżem najlepszym, jej wyrokom poddajemy się pokorniej, a przepisy ludzi oburzają nas tylko, i czasem jakaś wściekła ochota bierze nie zważać na nic, wzgardliwie zdeptać je nogami. Och! żebym mogła porzucić krainy tej obrzydłej mi, cywilizacją, Europy!

Lecz oto wilgoć, która w mych klasztornych zakątkach panuje, nawet bie-

dną wyobraźnię z oddalonych przywołała okolic. Przykry dreszcz mnie bierze, trudno więc, żeby mnie myśl o Afryce i Ameryce nie odbiegła. Żegnam cię Wando.

Marya.

* * *

To był list ostatni. Wziąłem znowu do ręki poprzednie, obejrzałem czy między nimi nie zamięszał się jaki nieznan mi jeszcze, któryby mnie mógł uwiadomić o dalszém życiu tej młodej Maryi, o którem że skończone, to tylko wiedziałem, i to tym większą dla mnie pokrywało melancholią wszystko, co się jej tyczyło. Spozstrzegłem że zegar już północ wskazywał i niepodobna było, dla zaspokojenia mojej ciekawości, u-

dać się zaraz do pani Roańskiej. Nie czując żadnej do spania ochoty, nasunąłem jeszcze ombrelkę na stojący przedemną lichtarzyk i spoglądając to po rozłożonych listach, to po prawie ciemnym pokoju, różnie o kobietach myślałem. Wielki przeciwnik wszystkich ogólnych prawideł, które uświęcone zwyczajem, zwykle wyrocznią się stają, pojmowałem niesłusność skazania wszystkich kobiet na jednostajne życie. Ztąd niektóre, w wyłącznem, szczególnem znajdujące się położeniu, przez wyższość zdolności, lub familijne stosunki, sama tylko boleść otacza, w małżeństwie szczególnie, w tym świętym, a powiększej części na wyrachowaniu opartym związku, który im jak najspieszniej narzuca swiata niesprawiedliwość. Ileż idzie ze mąż dla tego jedynie, że ze starej panny śmieją się ludzie, że kobieta

bez czépka mało znaczy. Niezmiernie zawsze bawią mnie w salonach te dwudziesto-kilkoletnie panny, prowadzone po towarzystwach przez młode mężatki, którym w siedmnastym roku życia znaczny posag lub piękny buziaczek, wianek na czepiec zamienił. Te mając prawo odzywać się więcej w rozmowie, choć czasem nie wiele co dorzecznego powiedzieć mogą, wchodzą pierwsze, siadają na pierwszym miejscu, ich zdanie więcej ma powagi, a to wszystko dla tego, że mężatki, gdy tymczasem nie raz one same przez tamte prowadzoneby być mogły. Czyż więc podrzędna rola zadowolni kobietę, która się wyższą czuć będzie, a która nie Kochając lub raz zawiedziona w serca nadziejach, oddać się w małżeństwo nie chce, albo też, mimo najlepszej chęci, nie ma komu. I za to ją świat kamie-

nuje pociskami śmieszności, za to nie uważa za nic, lub znowu spogląda litośnie jakby na jakiego natury wyrodka. A nam bezzennymi pozwalają być bezkarnie. Biedne kobiety, biedne! i wśród szczerých uzaleń, na dobre się zdrzymałem.

Nazajutrz znów o dziesiątej zrana znajdowałem się u państwa Rońskich. Dzieci nie zatrzymywały mnie długo, bom zapomniał zrobić dla nich zwykłego dobrych rzeczy zapasu. Ich matka przywitała mnie swoim zawsze tak miłe spokojnym uśmiechem.

— Czekalam Pana, rzekła odbierając paczkę, byłam pewną że Pan czytania tych listów nie odłożysz na później. — Jakże się Panu Marya zdała? —

— Pani! żebyś był w moim młodym wieku podobną spotkał kobietę i zna-

lazł w niej wzajemność, nie nazywano-
by mnie dzisiaj kawalerem Marco-
wym.”

— Tak, tak, wybyście się spotkać
w życiu byli powinni, bylibyście się zro-
zumieli, uszczęśliwili. Ale naszego
wieku mężczyźni, czyli mogli ocenić
taką kobietę? Czcze modnisie, zarozu-
mialcy, chciwe, próżne, wyrachowane,
zimne, niestałe istoty.

— Oj, oj, przerwałem ze śmiechem.
Szczęściem dla Pani, że jeszcze w zesz-
łym wieku dwadzieścia lat skończyłem.
Inaczej byłbym z Panią kruszył kopią,
stając w mojej płci obronie. Lecz i
panu Gustawowi ten potok wybitnych
przymiotów nie pochlebia, zdaje mi
się. —

— Och! Gustaw to co innego. Pra-
wda że i ja też nie to co Marya. Ja so-

bie zwyczajnie naturalna kobieta, tak jak innych tysiące.

— Przepraszam, ja znam kobiet tysiące, a żadnej — Pani podobnej.

— Toby można na dwie strony tłumaczyć, podchwyciła weselej pani Rońska, potem z wracającym na wspomnienie przyjaciółki zasmuceniem dodała: „I cóż, nie pan więcej o Maryą się nie pytasz?”

— Mam się pytać tak wiele, że nie śmiem, że się obawiam.

— Mów Pan, wszak obiecałam ci opowiedzieć, eo tylko zechcesz.

— Och! jabym jeszcze wiele dowiedzieć się pragnął. Czy Pani nie masz więcej listów?

— Nie, ostatni posiadam ten, który pan czytałś. Miałam wprowadzić kilka późniejszych, ale te, odebrane wśród kłopotów z dziećmi i różnych innych

zatrudnień, zagięły, a wtenczas Marya żyła jeszcze, przeto one stanowiły dla mnie tyle drogich jak teraz pamiątek. —

— Dawno już jak nie żyje ?

— Sześć lat blisko. We dwa lata po wprowadzeniu się do klasztoru skończyła smutne, krótkie życie. Choroba jej nie była długą. Miała raz mocne zapalenie mózgu, z którego wyszła szczęśliwie, lecz przestrzegli doktorzy że powtórzenie niebezpiecznym dla niej będzie, i polecili zbyteczne wzruszenia, coby gwałtowniej krew wzburzyć mogły, od niej usuwać. Marya też, sądząc podług listów, zdawała się spokojniejszą. Mój mąż dostał wyższe urzędowanie i przeniesiono go do Warszawy. Ledwo dni kilka z rodzicami się nacieszywszy, pośpieszyłam Maryą odwiedzić. Znalazłam ją zmienioną do

niepoznania. Ona, co tak mile dziecinną czasem była, teraz posępna, blada, z podsiniąłemi oczyma, mówiła raz do mnie. Jak natrętne jest mi życie!...

Jednak z moich odwiedzin bardzo rada była. Opowiadała mi z zaufaniem różne swoje kłopoty, nieczułe obchodzenie się z nią stryja i jego żony, płakała wspierając głowę na mem ramieniu i to jej ulgę przynosiło. Wyjechałam, a ona jak mi później powiadały zakonnice, stawała się coraz więcej ponurą i mało mówiącą. Tak zniecierpliwioną i opryskliwą czasem, że gdyby nie wiedziały, że jest nieszczęśliwą sądziłyby ją źle wychowaną, niegrzeczną. Do mnie nawet pisywała rzadko i krótko. W jej listach już nie znachodziłam dawnych wynurzań, utyskiwań, długich nad różnemi przedmiotami uwag; przebijała się w nich gorycz, znie-

chęcenie do życia, i niekiedy wyrazi jakiejś dzikiej ku ludziom nienawiści. — To mnie przerażało. Ona tak zdolna do szlachetnych uczuć, z taką duszą wzniosłą, z takim usposobieniem do dobrego, swemi zdaniemmi okazywała się przeciwną własnym zasadom. Jej kochające serce nieprzyjaznemi wypadkami zatrute, obumarło, jedno w niem tylko zostało pojęcie: litość nad nędzą. Ubodzy zgon jej oplakujący, wymownie świadczyli przeciw mizantropicznym wyrażeniom, jakeimi często gorszyła mało znające ją nieoświeczone osoby, co ją otaczały. Jak też okoliczności sfałszować, odmienić mogą charakter! Miała słuszność, książki zaszkodziły jej wiele. —

— Prawda, przerwałem — większa część książek francuzkich, zabójczą jest dla niespokojnych, jak jej był, umy-

słów. Podniecona wyobraźnia roszkownemi szczęścia obrazami, zniechęca się do prozaicznych wypadków życia. Biędna Marya, mimo całej niewiary w ludzi, o której wspomina, wymarzyła to życie tak pięknem, tak otoczone, tem co jej się najuroczej przedstawiało, miłością, że jej zabrakło odwagi, gdy ją lube oczekiwania zawiodły. Lecz Pani ocalić ją mogłaś, dla niej jednego kochającego serca współczucie zbawieniem było być powinno.

„I cóż, kiedy za daleko byłam od niej, mówiła z westchnieniem pani Rońska. Trzebaby było ciągle z nią przesiadywać, ciągle od jej umysłu smutne odsuwać myśli, a ja, to byłam słabą, to znów od dzieci oddalić się nie mogłam. Kiedy poznałam stan jej duszy, już było za późno. O! tę nieprzezorność zawsze mocno sobie wyrzucam.”

Kończąc te słowa pani Rońska gorzko zapłakała, ja zaś mimo przykrości jaką mi łzy drugich zawsze sprawiają, nie mogłem się wstrzymać od zapytania: „A ten pan Edmund, co się z nim stało? —

Mieszka z tąd o dwie mile, ma się dobrze, więcęj nic o nim nie wiem. Nie widziałam go jak jeszcze za życia Maryi wśród okoliczności o których mi wspomnieć bolesno, lecz obiecałam Panu wszystko powiedzieć... I ją wtenczas ostatni raz widziałam.... Było to u pani Wolnickiej, która wydawała za męża swą młodszą siostrę. Familii i znajomych nazjeżdżało się mnóstwo. Marya mimo najszczerszych nalegań pauny młodej i całego domu przybyć nie chciała. Rozumiałam iż się obawia spotkać Edmunda, a ponieważ mi mówiono, że był u wód i jeszcze nie wrócił, uwiado-

miłam ją o tém, prosiłam, błagałam żeby przyjechała pojazd i konie które po nią chciała posłać pani Wolnicka. — Wystawiałam jak mi trudno jest ją odwiedzać, gdy tymczasem na weselu być mi wypada, bo pan młody krewny mego męża, z dziećmi nawet nas zaproszono. Lecz ja ich zostawiłam u rodziców Gustawa, bardzo blisko pani Wolnickiej mieszkających, aby móżdż potem zawieść do nich Maryą, rozerwać ją, rozweselić moich małych widokiem. — Nic z tych miłych projektów.... Marya przyjechała wprawdzie. Choć smętna, pośmiała się jednak z nami niekiedy. — Przez kilka dni jej humor znacznie się polepszył, a ja uradowana układałam w głowie zupełnego uleczenia ją sposoby. Mija dzień ślubnego obrządku i następnie zaproszeni jesteśmy do młodej pary. Tam, cóż za gość niespo-

dziewany zjeżdża?— Oto, od dwóch dni z zagranicy przybyły pan Edmund z żoną. Jego widok smutnem przeczuciem scisnął moje serce. Na Maryą spojrzeć nie śmiałam, lecz kiedy później nieznacznie zwróciła na nią oczy, była przerażająco blada. Przyszła do mnie i zapytała lekkim tonem, któremu wesołości drzące zaprzeczały usta: „Czy dobrze dziś wyglądam? szkoda, mówiła dalej zcicha, poprawiając włosy w będącem tuż za mną zwierciadle, zginęły rumieńce, a on gotów pomyśleć że to rozpacz.”

Tymczasem mnie zajęła rozmowa Edmunda z żoną. Byłato, jak mi się zdało, kobieta nie bardzo do towarzystwa ukształcona, chociaż kształtnie przybrana koronkami. Mąż mówił do niej coś tajemniczo, często w naszą stronę spoglądając. Ona podniosła, jakby

z niechcienia, martwój białości rękę, wy-
ciągnęła nieco ku nam okryty pierścion-
kami palec i z uśmiechem próżności za-
pytała po francuzku: „Ta co stoi?” Roz-
śmiał się także pan Edmund, ucałował
wskazujący paluszek i znowu spojrzął
na Maryą. Ta odwracając się od zwier-
ciadła, uchwyciła tylko to spojrzenie,
ale zapewne domyśleć się musiała, tak
jak ja, rozmowy przedmiotu. Oddali-
ła się odemnie, zaczęła z innemi osoba-
mi ożywioną prowadzić rozmowę. Z jej
listów Pan wnosić możesz, czy umiała
być przyjemną, czy miała o czém mó-
wić. Otoczyło ją grono młodzieży, a o-
na z niemi to poważna, to zalotnie żar-
tobliwa na przemiany, o różnych roz-
prawiała przedmiotach. Szybką zmia-
ną przechodząc od zapału do ironii, od
dziecinnej nierozwagi, do rozsądnego
zastanawiania się dojrzałej kobiety,

śmiała się pusto, wesoło, jej oczy jaśniały, zarumieniły się lica. Jakżeś dziś piękna, rzekłam do niej z cicha, oszukana nie ledwie jej mistrzowskiem wesołości, lekkości umysłu, udawaniem.— Ale zaniemiały usta, gdym się jej ręki dotknęła. Była rozpalona ogniem gorączki. „Tyś chora Maryo, szepnęłam. — „Ja, ja chora zawołała głośno, żartujesz chyba. Czy ja chora kiedy, czy ja chorą być mogę. Wyraźnie zdaje mi się, że ja, to nie umrę nigdy.

I zaśmiała się znowu, a mnie ten śmiech dreszczem przejął, jakby jakie echo grobowe.

Pan Edmund wmieszał się do rozmowy, Marya odpowiadała mu bez zająknienia, bez widocznego pomieszania. Rozmawiała nawet z jego żoną grzecznie, uprzejmie. Zaczęli się rozjeżdżać goście z sąsiedztwa, a my rozchodzić

się do przeznaczonych pokoi. Lękałam się Maryą samą zostawić, poszłam więc za nią. „Co chcesz zapytała zmienionym głosem, obracając się do mnie. „Przenocować dziś u ciebie, jeżeli pozwolisz. Bo kiedyż się drugi raz zobaczymy, takaś uparta, chcesz jutro koniecznie wyjeżdżać.

Przybliżyła się do mnie, objęła za szyję rękoma i z lubą pieśczożliwością to przytulała do siebie, to całowała w oczy, to znów moje włosy do swych ust przykładła. Wandziuniu, mówiła, dobrze żeś przyszła się ze mną pożegnać, bo teraz zapewne rozłączymy się na długo. Koniecznie upierała się na jutro dzień do Klasztoru wracać, było więc rzeczą prostą, że o rozłączeniu wspominała. Jednak ja na te jej słowa rozplakałam się tak mocno, że mnie uspokoić nie mogła. Wzięła chustkę,

ocierała łzy moje, ale jej oczy były suche. Potem położyła głowę na mem ramieniu i raptem ją zerwała. „Dobranoc ci, pójdę spać bo mi zimno. Aby ją ucałować objęłam jej głowę, była rozpłomieniona. Położyła się. Ja również zabiérałam się do spoczynku, oddalając od siebie różne smutne myśli, gdy w tem ona zerwała się gwałtownie: „Wando, Wando, zawołała. Poskończyłam ku niej. „Co ci jest? pytam. — „Tak mi się w głowie kręci... tak mi się w oczach ćmi!... i padła na łóżko. Cały dom zbudziłam. Posłano po Doktora.. o cztery mile!... Wiedziałam że w takim przypadku dobre są pijawki. Pijawek w domu nie było.... krwi nie miał kto puścić. Lód, zimna woda, nic nie pomogło..... umarła!..... Mocne łkanie przerwało mowę pani Rońskiej. Pochyliła się nad robotą, jakby chcąc za-

jęciem smutne wspomnienie rozerwać. Wrócił też z biura pan Roński.— Nie wiedząc o czem była mowa, a my nie spieszyli zasępiac jego czoła niepotrzebnymi objaśnieniami, wesoło nas powitał i wręczył żonie bilety na drugie przedstawienie Jeziora Wieszczek. — „Dziękuję ci odpowiedziała mu tkliwie nie podnosząc oczu. „I cóż, czyś niekontenta, czy to tak mi dziękują, wołał żartobliwie. Łoży trudno było dostać, tyłem się nastarał, żem wart ślicznego buziaka.

Żona rzuciła się w jego objęcia. Dzieci ich obstały całując po rękach. Ja zaś nadto wzruszony, abym mógł do rozmowy należeć, pokłoniłem się naprędce i wyszedłem.—

Czaszka Npiłowana.

W roku 1842 mieszkałem na rogu ulic Senatorskiej i Miodowej w Warszawie. Jednego Styczniowego poranku ledwo co opuściwszy łóżko chodziłem po pokoju z fajką w ustach, marząc o tém i owém i na kawę czekając. Była może dziewiąta godzina, kiedy moje zadumanie przerwał tłumiony śmiech kobiety. Potém zlekka zapukano, rozśmiało się jeszcze i nareszcie w pół rozwar-

tych drzwiach ukazały się dwie wesole, w aksamitne kapelusze oprawne twarzyczki, moich siostr ciotecznych.

— Co to jest, zawołałem zdziwiony. Wy tutaj, co to się stało?

— Krzyczże, krzycz, przerwała Natalia. No proszę, on gotów cały dom zwołać żeby się pochwalić odwiedzinami dwóch panien.

— Dziękuj Panu Bogu, dodała Emma, że to my do twego przedpokoju weszły, a nie jaki żydek lub drwał. Wszystko porozstawiane, nieporządek. Jak to można tak drzwi na klucz nie zamykać, kiedy lokaja w domu niema, a pan marzy o niebieskich migdałach.

— Franciszek poszedł po bułki do kawy. Ot, i już wrócił. Ależ powiedźcie mi co was do mnie sprowadza.— Musi być jaki ważny powód, kiedy wasza Matka pozwoliła wam iść do ka-

walerskiego mieszkania o dziewiątej zrana.

— Och! Mama jeszczeby łajać gotowa. Nic o tem nie wie. My tylko byliśmy pod filarami, robić sprawunki na Sobotę do Resursy. — Spojrzałyśmy w twoje okna i przyszła nam ochota zrobić ci niespodziankę, wpadłyśmy, a ty nas tak sucho, oziębło przyjmujesz, Panie Władysławie

— Owszem, miło mi jak zawsze was oglądać, lecz to niedobrze żeście tak przyszły same, gdyby kto widział..... Mama....

— Żywa dusza nas nie widziała, chyba że ty rozpleciesz nudny moralisto.

— Niewdzięczny! będzie na nas generał jeszcze jakby dziadek nieboszczyk, zamiast nas przyjmować z radością.

I rozgrzewały swe zziębnięte rączki

u ust moich i wołały: całuj, dziękuj szkaradniku.

— Ach jakież on ostre ma wąsy, krzyknęła trzpiot Natalia.

— A broda jak rozczochrana, a jak go fajką słychać!

— Fe, fe, fe, brzydkiś w szlafroku. Kuzynku ubierz się czem prędzej, bo się patrzeć na ciebie nie mogę. Zawojowały mię zupełnie śliczne dziewczyny. Poszedłem nic nie mówiąc ubrać się w przyległym pokoju. Franciszek musiał biedz czemp prędzej po ciasta i czekoladę. Jeszcze nie wrócił, a ja już fi ksatoarem pociągnąłem po wąsach, wygładziłem brodę i w chwil kilka uzupełniłem ubranie, do którego zwykle nie wystarczała mi godzina. Wycho dzę. Cóż się oczom moim przedstawia? Mój, i tak już nieporządny pokój, wy gląda jak mieszkanie bogatego lichwia-

rza, które nie dawno opuścili rabusie. Roztwarte szafki, porozrucane książki, szuflady z biurka powyciągane, w nich Emma przewraca, podczas kiedy ta nie dobrego Natalia, stojąc ze słoikiem moich ulubionych truskawkowych konfitur w ręku, wyjada je nielitościwie.

Zbiérając przegłądane przez Emmę papiery, wołałem na Natalią:

— Zmiłuj się kuzynko, nie niszczyć tak od razu, mojej nędznej spiżarni zapasów. Patrz, już dno widać. Czémże przyjmę Adolfa, a on nie innego jeść zrana nie może.

— Ha, ha, ha, słuchajno Emmo, oni się konfiturami częstują. Na taką zniechęcałość pewno się muszą otrząsać, spróchniałe kości naszych przodków z Jagiellońskich czasów.

— Co to jest, krzyknęła Emma, mój Boże! to część czaszki ludzkiej.

—No to przecie godne Sarmaty. Z jakiego to wroga czaszki zrobiłeś sobie miseczkę do konfitur. Dobrzem uczyniłażem je wyjadła wszystkie, bo też to znowu na dziewiętnasty wiek za okrutne. —

—Oj, Panie ciekawskie, nie żartujcie, mówiłem odbierając od nich wierzch czaszki, który równo upiłowany wydawał się, jak jakie głębokie naczynie.— Nie żartujecie, tę kość nagą teraz, pokrywały dawniej ciemne włoski, długie, piękne jak wasze.

— Więc ją chowasz na pamiątkę, rozumiemy, to z głowy jakiej twojej....

— Wiem co chcesz powiedzieć moja Pani. Ale nie, bo jeszcze jej nie miałem nigdy.

—Doprawdy, zagadnęła figlarnie, Natalia, więc czyjaż to czaszka?

— Ładnej młodej dziewczyny, której nie znałem żywą.

— A to jakaś szczególna historia być musi. — Nic nam o tem nie wspomniałeś. —

— Wtenczas kiedy ja tę czaszkę w biurku moim złożyłem, wyście w Busku były. — Smutne zdarzenie przez które ona mi w ręce wpadła, z czasem, jak to zwykle bywa, wygladziło się z mojej pamięci. Czaszka leżała głęboko w szufladce, aż ją plądrowanie panny Emmy na wierzch wyprowadziło. —

— Ja tylko chciałam wiedzieć, odpowiedziała nieco zawstydzona, jaki też to porządek w kawalerskiem biurku.

— A mnie jakoś wpadły pod rękę te nieszczęsne truskawkowe konfitury. — Daruj kuzynku.

Jakże im wszystkiego darować nie

było. Franciszek przyniósł czekoladę, podałem ją siostronom, jadły naprędce. Emma mówiła: trzeba nam się zabierać do domu, a takbym chciała wiedzieć coś więcej o tej czaszce. Spodziewam się że pan Władysław opowiedzieć nam zechce.

— Z największą chęcią kiedy tylko żądać będziecie kuzynki. —

— Więc przyjdź dziś do nas na herbatę, nie będzie nikogo.

— Przyjdź przyjdź Władziuniu, rzekła Natalia tak słodko, jak niegdyś kiedy oboje dziećmi byliśmy. — Zostawszy panną dorosłą, już zaniechała tego pieszczotliwego nazwania, i ja byłem dla niej panem Władysławem tylko. — Oddawna tak zdrobniałem niesłyszane imię moje mile mi zabrzmiało w jej ustach. Pierwszy raz zachwyciła mnie jej młodość świeża, jej wesoły humor,

pierwszy raz dostrzegłem żywość jej oczu, małeńkość jej nóżki. — Wszystkie siostry które dobrze znamy, widujemy często, zwykle dla nas przestają prawie być kobietami. Zupełnie zimnymi jesteśmy na ich powaby. Ale Natalia nie wiem z kąd? dla czego? tak jakoś odrodziła się teraz w mej młodszej wyobraźni. Musiało jej wiele o tém powiedzieć moje spojrzenie, bo spuściła oczy i spiesznie wyrwała mi swą rękę, kiedym obiedwie siostry ze wschodów sprowadzał. Zeszły, a ja pobiegłem do okna goniąc jeszcze okiem za odchodzącemi. Tak spiesznie zbierały małe nóżki po skrzypiącym śniegu, że ledwo mógł za nimi zdążyć stary lokaj. Lube dziewczyny! córki jedyne rodzonej mojej matki siostry. Wdowy u której się chowałem, od dzieciństwa znane mi były. Figlowaliśmy, uczyli-

śmy się razem, bo do dwudziestego roku życia u ciotki mieszkałem. Lecz jak mi wąsy urosły, powiedziała że już teraz zupełnie na swój chleb przejść mi należy. Wynajęła dla mnie osobną stancją, mówiąc iż tego oddalenia nawet opinia jej córek wymagała. Była to może, przez chęć lepszego dla nich losu, z jej strony obawa, aby nie nastąpiło małżeństwo której z nich ze mną, niskim urzędnikiem, sierotą miernego po rodzicach majątku. Lecz ja dotąd bynajmniej do żadnej z nich owej szczególnej, gwałtownej miłości nie czułem, chociaż podobno gotówbym był z obiedwoma się ożenić, gdyby można było tylko, tak je szczerze kochałem obiedwie.

Teraz właśnie patrząc za niemi, zastanawiałem się czy do której z nich więcej mam pociągu. — W tem Natalia

spuszczając na oczy zasłonkę, widać wiatr mroźny jej dokuczał, obróciła się i spojrzenie w moją stronę posłała. — Ja szybko otworzyłem okienko i wychyliłem się aby ją widzieć dłużej. A gdy mi już zniknęła z oczu cofnąłem się i tak mi się jakoś tęskno zrobiło. — Wziąłem za słoik, zdawało mi się że czuję na szkle ciepło jej paluszków. — Obracałem go w rękę i tak stojąc nieporuszenie myślałem, myślałem długo, ale nie o konfiturach.

Wieczorem, pokończywszy biurowe czynności, udałem się do mieszkania mojej ciotki. Nic przy niej nie wspominałem o rannych odwiedzinach, które mię spotkały, za co jak uważałem, wdzięczne mi były kuzynki. — Emma jak zawsze przyjacielska, Natalia tylko mniej żywą, mniej śmiałą mi się zdała. Bo też jej się tak przypatrywałem, jak-

bym ją pierwszy raz widział. Slicznie wyglądała w swój różowej sukience. — To mój kolor ulubiony, i miłość własna szeptała mi, że Natalia wiedząc o tém, dla przypodobania mi się, taki ubiór włożyła.

— A o tej czaszce nie nam pan nie powiesz? zagadnęła mię podczas kiedy Ciocia zdrzémała się pod piecem nad pończochą.

— I owszem, przyniosłem nawet z sobą książkę, która wiele paniom wytłomaczy.

— Cóż to, stara książka od modlitwy... Złoty Ołtarz! Patrz Emmo, a tu na białej karcie coś pisanego niewyraźnie bez ortografii.

— Są tu jednak piękne myśli, choć je bez ortografii kręśliła niewprawna ręka ubogiej służącej, do której ta książ-

ka i czaszka którą z rana oglądałyście należały.

— Służące! wykrzyknęły jednocześnie, a ich usta ściągnęły się minką wzgardliwą. Może jeszcze takiej co kradła i piła.

— Otóżto niesprawiedliwość ludzka! Wady jednych ogółowi przyczepiać. — Więc nie przypuszczacie panie, żeby się znalazła jaka poczciwa dziewczyna, którąby nędza do służby przymuszała. — Oj, kuzyneczki, jak wam pokojówka świetną balową suknię niedość zręcznie zapina, nie niecierpliwcie się, nie łajcie zbyttnio za drobnostkę, litujecie się nad biedną. Jój może już i tak przykre przychodzą myśli, dla czego ona takich strojów jak wy mieć nie może, dla czego wam w podziale przypadły zabawy, używanie wszystkiego na tym świecie, a dla niej niewola, konieczność usługi.

wania drugim, znoszenia nudów, niewygód, aby utrzymać życie tak mało dostarczające przyjemności. Nie zniechęcajcie ich więc do tego życia przykre mi słowy, obelgą.

— Czyżes Pan widział, żeby my kiedy takimi były, zapytała Natalia.

— O! nie, nie Natalio, odpowiedziałem całując jej rękę.—Zarumieniła się, a ja popatrzywszy na nią chwilę, mówiłem dalej. Ja tylko ogólne uwagi robię i pragnąłbym żebyście wszystkim znajomym powtarzały to prawdziwe zdarzenie, które wam opowiem. Ono powinno by lepszymi dla sług swoich uczynić wielu.

—Jak byłem aplikantem w Sądzie pokoju, z obowiązku znajdować się musiałem przy obdukcjach ciał ludzi zmarłych nienaturalną śmiercią. Nie uwierzycie kuzynki, jak mi okropnie

było przypatrywać się rozcinanym członkom wisielców, topielców, aby módz potem protokół napisać. A Podśdek często się mną wyręczał, często nawet na wysłuchanie zeznań przeznaczył. Wśród obiadów, wśród tańców, przychodziły mi na myśl te kawały zakrwawionego, zsiniałego ciała i jeść nie mogłem i smutny się stawałem, aż wy same dziwiłyście się temu. — Raz^o jednego (wy tylko coście do Buska były wyjechały) wypadło nam poszukiwanie powodu otrucia się witryolem jednej służące^j, siedemnasto letniej dziewczyny. Jój pani, Aptekarzowa z Podwala świadczyła, że ona popijanemu trucizny musiała się dorwać, gdyż ją przed tém za kilkokrotne upicie się obiała była. Wierzę, musiała się przyznać do tego, kiedy jeszcze krwią zaszły ślady od różgi zostały na plecach dziewczyny. —

Lecz przypatrując się otyłej mieszczce, uważałem w niej fizognomią złościcy i wątpilem, żeby koniecznie za ważne tylko wykroczenia karciała swoich służących. Wchodząc do jej mieszkania, mieliśmy właśnie próbkę jej humoru. Była to godzina przedobiadowa, obok kuchni przechodzić trzeba było, i zastaaliśmy panią aptekarzową z miotłą do góry wzniesioną, która tylko co opaść miała na ramiona kucharki. Pani, zczewieniona od ognia i gniéwu, na wpół ubrana, z rękoma w cieście uwalanemi, nie zmieszała się bynajmniej naszym widokiem. Palcem, na którym jeszcze wisiał kluska kawałek, wskazała nam wązkie ciemne wschody, i tam poszliśmy. Był to pokóik na poddaszu. — Przepelniony różnemi gratami, wśród których flaszki i słoiki czekały na mikstury i maście, leżały stosy bibuły do

owijania onychże przeznaczone. Tam na łożku bez nogi, podpartem krzeselkiem bez poręczy, leżał trup dziewczyny. Jasność dnia, jedynem oknem się wkradająca, oświećlała jej twarz i ciało, w lekką starą odziane bieliznę. — Lica, tak rozjaśnione, wydawały się przezroczysto białe, piękności posągu i spokojności anielskiej. Wtenczas nie pamiętałem że to była służąca, z tego wyganego i kłótliwego rodzaju młodszych Warszawskich, widziałem tylko niezwykłą kobietę, stały mi w pamięci, jej śmierć dobrowolna, jej lat siedmnaście i czyniłem sobie pytanie dla czego się ona otruła, dla czego? Mówi jej pani że pijaczką była. Taka młoda? Nie, nie, to kłamstwo. Widząc ją, wierzyć temu nie można.

Te i tym podobne, stojąc nad łożem otrutej, przychodziły mi myśli, lecz za-

pewne mnie samemu tylko. Chirurg
 dobywszy narzędzi, ujął za włosy tru-
 pa, i z całą zimną krwią kucharza lub
 rzeźnika, odrzynał skórę z jego głowy.
 Potem aby zajrzeć do mózgu zaczął kość
 piłować. Odwróciłem się. — Wkrótce
 stuknięcie oznajmiło mi że upadł wierzch
 czaszki. Pewnie blisko nogi doktora,
 bo ten zawołał gniewnie. Bóty mi wa-
 lasz! i odtrącił daleko od siebie kość
 zakrwawioną. Zatrzymała się przy
 płicie bibuły. Mój wzrok utkwiał na tej
 czaszce, serce boleśnie się ścisnęło. —
 Tymczasem otworzono trupa, przejrza-
 no worki płucowe, jamę brzuszną i
 z podziurawionych wnętrzności przeko-
 nano się, o czém już dawniej ze znale-
 zionej przez Aptekarzową w łóżku fla-
 szeczki wiedzieliśmy, że Antonina Sen-
 kowska otruła się witriolem. — Ależ dla
 czego? przypadkowo to być nie mogło,

bo w pokojach nigdy żadnych trucizn nie stawiano, tylko Antosię raz w wieczór widział subjekt Aptekarski wybiegającą tak prędko ze sklepu, że nawet spytać jej się nie zdążył, co tam robiła.

Zapisałem na miejscu podanie doktora. Oni już wyszli, a czaszka została w tym samym kącie. Zapewne jej chirurg nie mógł znaleźć naprędce, że zaś spieszył się na obiad, tak tylko skórę z włosami na głowę zarzucił. Ta kość zostałaby tam była na gniazdo myszy lub szczurów. Nie, tego przenieść nie mogłem. Włożyć je we właściwe miejsce nie miałem odwagi, tamci już zeszli i pewno nie wróciłby się był żaden, owinałem więc czaszkę w bibułę i wziąłem ją z sobą. Może wam się to dziwném wyda. Lecz kiedy czasem znajdujemy przyjemność otaczać się wypchanemi ptakami, skieletami zwierząt, zasuszo-

nemi kształtami owadów, przez zamiłowanie historyi naturalnej, czemuż więc dla daleko potrzebniejszej nauki, bo nauki życia z podobnemi nam istotami, nie mamy przechować jakiej z nich cząstki, coby nam przypominała znikomość naszą, równy koniec wszystkich, podobieństwo nasze z temi, których my tak łatwo gotowi niższemi uważać, dla tego że się w upośledzonym przez nas samych stanie urodzili. Och! niezapominajmy nigdy, że to bracia nam służą, również z nami w obliczu Tego, który nas stworzył wszystkich. Podobnemi uwagami zajęty, schodziłem na dół. — W sieni spotkałem starą, kulawą, dość schludnie ubraną kobietę, która ze schyloną głową dążyła jak się zdawało, w tę stronę z której ja szedłem. I zaraz potem z będących na lewo drzwi, do-

szły mię niby cicho wymówione słowa:
 „Patrz idzie Matka Antosi.”

Zwróciłem oczy w tę stronę. Stróż i młodsza od jakichciś państwa z tego samego domu, maglowali bieliznę, i nie zważając na mnie dalej swoje rozmowę ciągnęli.

— Biedna stara! płacze i płacze bez końca, od czasu jak jej powiedzieli że się córka otruła.

— Pocóż ona idzie do tej diabolicznej aptekarki?

— Odebrać rzeczy Antosi, choć ona ich tam wiele nie miała, ale i to co jest zda się matce.

— A jak ich nie zechce oddać Aptekarka? Gotowa powiedzieć że Antosia nadebrała kwartalnego.

— Nadebrała! wie cały świat czy ona kiedy naprzód płaci. Ona jej chyba nie dopłaciła jeszcze.

— Więc znaleźcie Antosię, zapytałem podczas kiedy ustał turkot magła.

— Jakże Panie! Służyłyśmy przez pięć kwartałów w jednym domu. Ja na pierwszém piętrze, Antosia na drugiem. Byłyśmy nawet razem na iluminacyi w Łazienkach, a ona była harda i z byle kim zadawać się nie chciała, bo jej ojciec był jakimś tam oficerem. Ze wszystkiem też to poczciwe było dziewczę ta Antosia, tylko wcale nie radne. Zeby była chciała toby była mogła być panną służącą u jakiej wielkiej pani. Umiała szyć i haftować i czytać i pisać. Ale nigdy nie potrafiła się wysliznać od tej Aptekarki, która jej puścić nie chciała, bo miała z niej wszelką robotę i mogła jeszcze nabić jej się, nawymyślać do woli, a biedne dziewczynisko słowa nie pisnęło.

—Lecz Aptekarzowa świadczy że An-

tosia była (zaledwie śmiałem wymówić to słowo:) pijaczka.

— Hm, pijaczka. Bodaj pana! i pan to powtarza. Chyba sama baba pijaczka. Jak zacznie ze swojemi czerwonymi ślipiami latać, krzyczyć, waryować to czasem aż moi państwo posyłają dowiedzieć się, co się dzieje bo sufit wtedy się trzęsie. A Antosia! Mój Boże, ona nawet piwa pić nie chciała, kiedy go nam kupił po drodze lokaj pani Sędziny.

— A jej Matka, czém się trudni?

— Jej Matka, ot biędna kobiéta, zawsze chora na nogę, siadywa przy rogach ulic z nadpsutemi pomarańczami, cytrynami, które jej za małe pieniądze w korzennych sklepach sprzedają.

W téj chwili głośnie łkania słyszeć nam się dały. Matka otrutej wracała z tłomoczkiem w ręku. Przeszła nie

spozstrzegając nas i płacząc ciągle. Gadatliwej młodszej zakręciły się łzy w oczach. Umilkłszy, podłożyła wałki pod magiel, stróż korbą obracać zaczął, a ja obiecując sobie mieć o biednej kobiecie opiekę, szedłem zwolna smutnie zamyślony na ulicę. W bramie leżąca w skórę oprawna i przybrudzona już książka, zwróciła moją uwagę. Podniosłem ją i obejrzawszy domyśliłem się że upuściła z tłumoczka matka Antosi. Wyjrzałem za nią, lecz już poznać jej nie mogłem wśród innych przechodzących tłumy. Potem gdym się dowiadywał o nią, powiedziano mi że leży w szpitalu. Odwiedzałem ją, była umierającą. — Książka została przy mnie.

Na białej kartce, przy początku, tę modlitwę ręką Antosi określona, znalazłem. Słuchajcie! przeczytam wam.

„Boże! dziękuję ci żeś mi zostawił

matkę, co mnie uściśnie i pożałuje, kiedy smutna. Ona jedna na świecie taka dobra dla mnie. Daj jej zdrowie, o! mój Boże, a mnie dopomóż żeby ją mogła z biedy wyprowadzić.

Daj mi cierpliwość. Boże! Pozwól żeby pani kontentą ze mnie była, daj mi cierpliwość, bo czasem zdaje mi się że nie wytrzymam dłużej.

Zrób mój Boże żeby mi się tak smutno nie robiło, żeby mnie nie brał żal taki, jak patrzę na szczęśliwe kobiety, co chodzą w atłasach, co jeżdżą karetami i wożą w nich swe matki, choć zdrowe. A moja matka kulawa, i ja jej drem w zimie nie zawsze mam za co kupić.— Czyż to z rozkazu Twego, Boże, jedni rodzą się na panów drudzy na sługi? Dziękuję ci Panie, żeś mi pozwolił być oświeceńszą od wielu mi podobnych.— Ze mogę czytać pismo twoje, wiedzieć

coś ty dla nas ucierpiał. Jak mnie biją, nie tylko mię ciało boli, ale jeszcze tak jakoś ciężko boli i w sercu. Spraw, niech pamiętam wtenczas niegodna, że Ciebie zelżono, biczowano, a Tyś wszystko zniósł dla nas i milczałeś, Ty, Stwórco!

Tak pragnę być najprędzej w królestwie Twojem mój Boże. Jak przy Tobie dobrze być musi! lecz daruj tę chętkę Panie, ja tu jeszcze Matce potrzebna. Często myślę, że tak łatwo zabić się, otruć i żebym tylko krótko cierpiała i potem już nie cierpiała więcej, a na tym świecie tak mi źle zawsze. Odsuń jednak odemnie te myśli mój Boże! Ty rozkazałeś znosić życie, a z Matką cóżby się stało? Och! przebacz, przebacz biednej grzesznicy, bo podobno ja więcej dla Matki, jak dla tego żeś ty zakazał Panie, odbierać życia sobie nie chcę.”

Na drugiej białej kartce przy końcu książki będącej, te słowa stały:

„O mój Boże, złej wszystkie błogosławieństwa Twoje, na te dobre osoby, co się nad ubogimi litują. Na tych co wymyślili sale ochrony, gdzie biedne stare matki znajdują opiekę, kiedy je nieszczęśliwe opuszczą dzieci. —

Długie, pełne zasmucenia nastąpiło między nami milczenie. Nareszcie Emma zapytała:

— Nie wiesz pan, czy się prędko otruła po napisaniu tego?

— Nie wiem, daty nie ma, ale zapewne ją w krótkce, razy, które od pani swej odebrała, do ostateczności przywiodły. Biedna dziewczyna! z taką delikatnością uczuć i zdrowia, czyż znieść mogła podobne obójście. Z rozpaczy dorwała się witriolu i nim zakończyła

życie młodziuchne, a już w tyle cierpienie obfite.

— A jej matka, jej biedna matka? Pewnie ją także smutne wypadki do takiego stanu przywiodły.

— Zdaje się, lecz widziawszy ją w szpitalu, nie o jej rodzinie, stosunkach dowiedzieć się nie mogłem. Powtórzono mi tylko że była żoną oddawna już zmarłego oficera. „Mój Boże! jak długo!.... To są jedyne słowa które z niespokojnością przez nią wymówione słyszałem. Zapewne tak jej tęskno było za odległą krainą, gdzie na nią czekali mąż i córka.

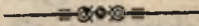
— Co też biednych na świecie, mówiła Natalia łezki ocierając. Żeby jako można o nich wszystkich wiedzieć i kiedy czas jeszcze wesprzeć pieniędzmi, słowami pociechy, jakieżby to szczęście było?

— Och! tak, odpowiedziałem Natalciu moja, tyś przeznaczona na Anioła pokoju, co łzy osusza, co uśmiech radości w około siebie rozdziela, szczęśliwy kto twoję miłość i starania posiadzie.

* * *

Chcecież państwo wiedzieć co się ze mną dzieje? Oto już od roku jestem mężem kuzynki mojej Natalii. Oby nam tak jak ten rok wszystkie lata życia upłynęły! Rzecz dziwna, której nikt w naszym wieku dać wiary nie zechce, ze służących mamy przyjaciół. Głośnego łajania w domu nie słyhać, o biciu, ani wspomnienia. — Wolimy, co nie dobrego, poprawić się nie da,

natychmiast usunąć ze służby, aniże-
li psuć sobie humor gniewaniem.— I
dni nam schodzą mile, wesoło, spokoj-
nie. —



CZERWIEC I SPYCZEN.

I.

Mijał Czerwiec roku 1842, skwarném tchnieniem poźółciwszy świeżą zieloność poprzedniego miesiąca. Wyszły wody cicho się do swych brzegów przytulały. Krzaki róży zwieszały smutnie gałązki swoje ku bladym z kwiatu listkom, które w około nich słały woniejący kobierzec. W tej porze jak miło schronić się na wieś pomiędzy lasy i pola, gdzie wietrzyki wysmukłe zboże

kołysząc, roznoszą po powietrzu zapach łąk kwitnących i tworzą atmosferę czystą, woniejącą, wśród której zdaje się, że nas prędeej. Bóg usłyszy. Tam tak spokojnie, tak cicho, gdy stada pocho-wawszy się w krzaki, przeżuwają zwol-na, gdy ptaszki umilkną zmęczone, od-łożywszy swoje pienia na noc i ranek, a słońce świetne, jaskrawe, promienie-jące dumnie spogląda z wysoka. Tam szare godziny wieczora głośnie tylko klekotem co zastukocze, u szyi krówki ledwo stąpającej pod mléka ciężarem, głośnie śmiechami wieśniaków, którzy po całodziennéj pracy, chętnieby jesz-cze obertasa wywinęli. I znów mija noc cicha, jak to życie wiejskie, ledwo gdzie w dali wilk zawyje, lub pies wo-koło domostw szczeknie, znów wita dzień nowy, ludzi wracających do tych samych zatrudnień i kłopotów. O! pię-

kne tam słońce, gdy się wśród rozognionego Nieba z poza gór, lub lasów wychyli. Patrzeć na nie tak błogo, miło, rokosznie duszy. Jak nie pomyśleć wtedy o Bogu, o cnocie, jak nie zapomnieć o wszystkiém co złe i kazi ten świat tak piękny. Czerwiec, a jednak Warszawa tak ludna! tyle w niej widać ogorzałych twarzy miejskich mieszkańców, którzy się kręcą po ulicach z wesołą miną, z fantazyjnie na bok włożoną czapeczką, witając się na wszystkie strony, zachodząc do każdego niemal sklepu, kupując kłódki, zgrzebła na Pociejowie i wonne pomady, olejki od Kracińskiego, oglądając się chciwém okiem znawcy lub amatora na piękne konie idące w zaprzęgach, tak że im nieraz czasu na przypatrzenie się strojnym damom, co siedzą w tych pojazdach zabraknie. Drudzy zaś wykwinniejsi, co

nie chcą o bruk zbijać obcisłych bucików, rozkładają się w swych koczach wtył głowę zwieszając, i rzucają tu i owdzie pysznym wzrokiem. Nie jeden udaje, że nie pozna sąsiada, zwłaszcza kiedy ten piechotą idzie, a on paraduje parą dziarskich kasztanów. Te, młode niedawno wzięte ze stadniny, wylęknięte zwykłym wielkiemu miastu ruchem, płoszą się, skaczą, łby zdzierają do góry, z czego się wielce raduje stangret Wawruś, którego teraz zowią Lorensem, a którego głupia fizognomia wygląda z pomiędzy galonowanego kołnierza i nowego kapelusza. Jemu się zdaje, że cała Warszawa patrzy na niego i jego kasztany jak minują.

I te roje paniczyków, tych tatusiów podżyłych, te matki z córkami, cóż prowadzić może do Warszawy w tej porze, która po miastach jest porą kurzu

i dusznego powietrza. Patrzcie, od wszystkich rogatek ciągną wozy ładowne wełną. Leżą stosami na placu Krasińskich twardo wypchane wańtuchy. Błogosławione niekształtne masy, co się nie w jeden przemienia tysiączek. Jestto myśl milej głaszcząca zmysły, jak wszystkie kwiatów wonie, jak chłód bujających po polach wietrzyków. Jarmark Sto Jański, ileż do niego odnosi się oczekiwań, rachub różnorodnych, ileż on zaśniedziałych rubli przemienia w lekkie przezroczyste kapelusze, zasłony etc. Napęłniają się szufladki wdzięcznie uśmiechających się kupców. Kontenta modniarka że jeszcze może spieniężyć czépeczek kształtu jakiego już nikt nie używa, unosi się nad świeżością rumieńców wiejskiej twarzyczki, do której go dopasowała zdrajczyni, a krawiec nie mogąc podą-

żyć robocie, mówi z zapałem, obliczywszy ile w tym miesiącu kamizelek, fraków, obstałowano u niego, że tak pięknie utoczone figury tylko ze wsi nam się zjawiają.

Lecz w tym roku zjazd zwykły na jarmark wełniany powiększył się jeszcze dla wyścigów konnych, drugi raz dopiero mających się odbywać w Warszawie. Jeden chciał się popisać ze swoim szybkonogim wychowankiem, drugi zobaczyć tylko to, nad czém przeszłego roku tak się unosili jego sąsiedzi, aby móżdż powiedzieć także: „Jakem ostatnią razą był na wyścigach.” Nawet Litwa, Podole, Wołyń, Ukraina przysłały nam swoich magnatów. I Poznancyki ze świetnymi liberyami, długimi brodami zawitali do naszej stolicy. W jeden z najpiękniejszych wieczorów miesiąca, o którym mówimy,

czterech młodych ludzi zstępowało z kilku schodów, które od cukierni Lesła do ogrodu Saskiego prowadzą. Jeden usta obcierał, drugi naciągał z trudem rękawiczki, inny znowu rzucał na ozdobny kwiatami balkon papiery z karmelków, a wszyscy byli strojni, wyświeżeni, wymuskani, wszyscy rozmawiali wesoło, gwarliwie, spoglądając na środkową ulicę ogrodu, w której między drzewami pstrzył się tłum niezmierny. Widać tam było znaczną część ludności Warszawskiej. Wyszli aby użyć przechadzki a pokładli ciasne obuwie, aby nasycić się świeżem powietrzem, a wszyscy tłoczą się w główną ulicę. W bocznych zaś pusto i głucho, tylko czasem zjawi się jaka dama dla odetchnienia, jaki młodzieniec zamyślony. Zamyślony! spodziewam się nie

pomyślicie że o miłości jak wam przypomnę, że w wieku XIX. jesteśmy.

W jednej z tych pustych ulic, lat 28. mężczyzna siedział samotny na ławce, ku której piękny wiąz się pochyłał. — Lecz wstał w krotce z wyrazem zniecierpliwienia i szedł dalej; na jego twarzy malowały się znudzenie, niechęć.

Nieszczęśni ci co użyli, co widzieli wiele, co rozkoszowali wśród salonów Paryzkich i pod błękitnym niebem południa. Wszystko dla nich nieledwie spowszedniałe, a zatem odarte z wdzięku, ponęty, ułudy. Gdzież mają szukać silnych wrażeń? Czyż oni zatrzymają się chwilę, aby z upodobaniem wciągnąć w siebie powietrza ubogiej rodzinnej ziemi, przypatrzeć się tym polom, które i cudzoziemców żywią, przesyłając daleko swe plony, czyż oni dostrzegli kiedy, jak piękna jest ta lipa, która

ich dziećmi widziała? Władysław był jedynakiem bogatego pana. Tytuł, pieniądze, ileż mu to od dzieciństwa zeskarbiło pochlebstw, przyjaźni, uwielbiań. Każdy prawie rok przepędził w innym zakątku Europy, używał wszystkiego, wszystkiém się zachwycał, tak że nie doszedłszy lat trzydziestu, znalazł się pozbawionym największych uciech, dla niego nic nie było nowością. Teraz z rozkazu ojca powołany do kraju, nie spojrział nawet na rozległe pola swoje. Piasek, sosny, lud nędzny, świnie wypasłe i lgnące błoto nie jest że to już Polska cała? Żadne wspomnienie nie obudziło się w jego sercu. Trzy lata miał dopiero gdy mu matka umarła, a jego do Włoch wywieźli. Teraz przyjechał do Warszawy na wyścigi.— Alboż on ich już mało i daleko światniejszych nie widział. Chodzi po o-

grodzie znudzony, te kobiety zdają mu się i spojrzenia nie warte, wesołość tego tłumu go drażni.

— Ach! jak się masz, zawołał, postrzegłszy idącego na przeciw siebie ziomka, z którym się był zaznajomił we Francyi.

— Zdrów, dziękuję serdecznie — Jakże mi przyjemnie tu cię znów spotykać, kochany Hrabio, odparł powitany mężczyzna, który gładząc po nacechowanem troskami obliczu, przeżył wiele, choć dopiero trzydzieści trzy lat mu się kończyło.

— Gdzież tak dążysz? pytał hrabia.

— Zobaczyłem starych przyjaciół moich, tam na ławce niedaleko posągu. Idę ich przywitać.

Władysław przyłożył do oczu lorynetkę. — „Ach! widzę, widzę, jeden

bez nogi, drugi już siwy staruszek. Zapewne dawne wiarusy Napoleona, resztki z tych żyjących świadków sławy jego, ciekawe do zbadania pomniki minionej epoki. Zapoznajże mnie z nimi....

— Szlachetni starcy! jak ich poważam wszystkich, mówił po krótkim milczeniu Aleksander, czemuż nie żyłem w ich czasach!

— Rozumiem to życzenie, odrzekł hrabia.

I przystąpili do ławki, kłaniając się z uszanowaniem.

General T. stary legionista robił wszystkie włoskie kampanie. Był jednym z czterech już tylko podówczas żyjących Polaków, którzy z Jenerałem Rochambeau de St. Domingo wylądowali. Żółta fébra minęła go łaskawie i kula się nie tknęła. Obok niego sie-

dzący inwalida, najpiękniejsze cztery lata życia swego w Hiszpanii przepędził. Wtedy jasno-włosy dwudziestokilko-letni młodzian, oficer w korpusie Sebastianiego, ulubieniec Andaluzek, z wrzawy wojennego, pełnego przygód życia, dostał się po utarczce pod Motril, do smutnej długie miesiące trwającej niewoli na wyspy Balearskie. Nareszcie wymieniony wrócił do szeregów, a pod Lipskiem prawą nogę zostawił. Opuściwszy służbę w stopniu pułkownika, znalazł tkliwą kobietę co mu swój los powierzyła. Dopiero w siedm lat po zawartym związku, przybyła im śliczna córeczka i pozostała jedynaczką. Żyli we troje z małych dochodów w wydatkach sobie uszczuplając, ale bogaci w szczęście domowe, szczęście ciche ludzi poprzestających na małym. Jenerał który się

nie żenił wcale, choć był majątnym, patrząc na harmonią ich życia mawiał nieraz koledze. Gotów jestem ci zazdrościć

Obadwa mieszkali ciągle w Warszawie, Jenerał tylko co rok do wód wyjeżdżał. Wróciwszy, spieszył do Saskiego ogrodu, widzieć się z kolegami, którzy tam, myślącby można że ulubione mają schadzki, tak lubią wszyscy w południe lub wieczór pogodny przechadzać się po szerokich ulicach i upatrywać swoich na gawędę.

— Jak się masz hiszpanie? — Aha, trzymasz się jeszcze kolego? Te i tym podobne krzyżują się zapytania.— Dalej wiadomości polityczne. Oni zawsze coś wiedzą o czem nikt nie słyszał. Ich mocno obchodzą bitwy w Algierze staczane, zajmują sprawy tej Hiszpanii, której pięknych kobiet i gorącego słoń-

ca nie mogą zapomnieć, Potém wesołe jakie wspomnienie ich ożywi. Jednemu się wymknie dowcipne francuzkie przysłowie, drugi zanuci piosnkę kreolską. Dobrze im tak razem. Cóż ich terazniejsze życie, oni żyją w przeszłości.

— Powiadam ci Pułkownik, mówił właśnie Jenerał mało zważając na to co w około nich się działo, że Infant don Francisco de Paula, oświadczył się za regencyą Esparterego. Widzieli się nawet w Madrycie i ty do siebie mówili.

— Ty a ty z księżęciem krwi królewskiej, Espartero — niepodobna.

— No, kiedy ci powiadam. Wiész że czytam wszystkie pisma publiczne, jeszcze w Maju o tém pisano. Nawet Espartero.....

W tem przestał, zbliżających się spostrzegłszy.

Aleksander przedstawił im hrabiego. Dosyć cierpko spojrział na niego Jenerał. Jemu zaraz przyszło na myśl że Ojciec Władysława, wojskowy także, był sobie raz postąpił nie tak jakby na honorowego człowieka, prawego żołnierza należało, lecz zapewne surowy wojak zrobił sobie szybką uwagę, iż syn czynów ojca nie winien i od niego zupełnie różnym być może, gdyż podał uprzejmie rękę młodemu hrabiemu, co już był wpiérw uczynił pułkownik. Nie wyrzekł jednak żaden: Witaj synu kolegi.

— Patrzcie, patrzcie, mówił jeden z młodzieńców wychodzących od Lesła, hrabia Władysław rozmawia z temi staremi gawędami.

— Winszuję mu, mnie oni i wszy-

scy im podobni na śmierć nudzą. Ale dla Władysława są może nowemi a zatém zabawnemi figurami. To taki dziwak jak drugiego trudno napotkać.

— Znasz go? pytał drwiąco Ludwik.

— Naturalnie, bardzośmy się przyjaźnili w Krakowie.

— Uważasz rzekł Ludwik półgłosem do obok stojącego Karola, on się przyżni z samymi tylko hrabiami i książętami, hołysz.

Dosłyszał to Alfred, bo się mocno zczerwieniał i.... i.... postąpił, odwracając się kilka kroków dalej, przypomniawszy sobie zapewne że nie dostałby pozwolenia na pojedynek.

— Jaki to on ma być bogaty ten Władysław, mówił Karol, przypatru-

jąc się skwapliwie wszystkim ruchom młodego hrabiego.

— Dopieroż to milionerki dostanie za żonę.

— Już ma sobie oddany majątek po matce, z dziesięć milionów wynoszący jak mówią.

— Szczęśliwy! będzie się mógł ożenić z kobietą którą pokocha, nie myśląc o jej posagu, powiedział nieśmiało Zygmunt, który był zakochany szczerze w ubogiej paniencie. (Ale bo też nie miał jeszcze wąsów.)

— Wszak to Aleksander, narzeczony mojej siostry, tam stoi także, rzekł Ludwik, pójdźmy do nich.

Skierowali swe kroki ku ławce.

— Witam cię kochany Hrabio, zawołał Alfred.

Władysław obrócił się zdziwiony tym czułym wykrzyknikiem, napróżno

szukał w swęj pamięci nazwiska wita-
jącego, za ledwie przypomniał sobie, że
głos ten już mu się był raz obił o uszy,
lecz jako człowiek dobrze wychowany
grzecznie podał rękę. Alfred obejrzał się
z tryumfującą miną. Potem umilkli
wszyscy słuchając pułkownika, który
odpowiadał Władysławowi na różne
pytania jego. Następnie Jenerał o u-
biegłych wspomniał czasach. A młode
trzpioty co z początku zatrzymali się
przy ławce, jako dobrém stanowisku
do widzenia przybywających, teraz mi-
mowolnie opuścili lornetki, zaniedbali
poprawiać pukle włosów, głaskać wą-
sy, zszedł z ich twarzy wyraz drwiące-
go lekceważenia. Tak piękną wtedy
tworzyli grupę że nie jeden przecho-
dzący, choć zupełnie pospolitej duszy
sam nie wiedział czemu kilka razy na
nich obejrzyć się musiał. —

Wystawcie sobie dwóch wojaków poważnie siedzących, z pooranem od wieku obliczem, siwym włosem, fizygnomią pełną jeszcze życia i wyrazu. W około z oczyma w nich wlepionemi stoi sześciu młodzieńców, których kształne ciała odziane w to, co najpiękniejszego wymyśliła moda. Jedni wysmukli, szczupli, z pierwszym wąsem na wardze, powabniejsi świeżością swego uśmiechu jak całą wypieszczoną ubioru elegancją. Drudzy starsi, z rozwagą na czole, co już zapoznanie się z życiem znamionowała, a u wszystkich myśli inny od zwykłego obrót wzięły. Opatrzcie jaki wyraz męztwa, dumy na tém obliczu, a po tych gładkich policzkach pomkły się szybko dwie łez perłki, te niebieskie oczy błagalnie wzniosły się w górę, te czarne znowu iskry miotają. A najstarszy z sześciu, który

już był dorosłym mężczyzną, oparł się o ławkę, różnemi wspomnieniami wzruszony, opuścił głowę smutnie na pierś. —

Każdy stał nieporuszony z natężoną uwagą, starzy zaś mówili naprzemiennie z coraz wzrastającym zapałem, w miarę jak obraz przeszłości wyraźniej kreślił się w ich umyśle. Jenerałowi zarumieniły się policzki, pułkownika szczudło wryło się w ziemię głęboko, a zarówno głowy ubielone latami, jak pachnące czarne włosy, osłaniał odwieczny kasztan parasolami swych liści. W dali gwarzył tłum różnobarwny, obok zpośród zieloności biały milczący posąg wyglądał, zdając się na nich spozierać i wzniesioną ręką wskazując im miejsce wszelkiej nadziei, źródło pociechy, Niebo!...

Turkot przed boczną bramą, zajeżdża

karéta z której wysiadają kobiety— wi-
dać ciągnące zwolna przez Królewską
ulicę fury zbożem ładowne— zdąża do
cukierni na poncz czy lody gracz zawo-
łany — otóż i przerwana rozmowa pod
kasztanem. Poodwracali się młodzi.
Jeden sobie przypomniał z boleścią jak
go zgrano dnia wczorajszego. Drugi
przygląda się furom, czy nie z jego
wioski wiozą owies którego spieniężyć
się spodziewa. Inny patrząc na kobie-
ty, myśli że go chcą żenić, a on żadnego
powołania do tego nie czuje, ten znowu
ze szczerą chęcią ożenienia się przyje-
chał, a nic upatrzeć sobie nie może.
Choć milczą poznał łatwo, że już zatar-
ło się w ich umysłach doznane wraże-
nie. Szkoda! popsuta całość naszej
pięknej grupy. Trzy tylko figury nie
straciły szlachetności piętna. Dwaj
starcy co patryarchalnie siedzieli wśród

z uszanowaniem stojącej młodzieży i Aleksander jeszcze w dumaniu pograżony. —

— O czemże tak się zamyśliłeś? młody kolego, rzekł Jenerał biorąc go za rękę i z ojcowską tkliwością przyciągając bliżej siebie. Nieprawdaż? i ty byś mógł ich wiele nauczyć, ty wiesz już jak proch pachnie.

— Albo to z nas nie tęgie byliby wiarusy, panie Jenerale pytał Ludwik.

— Nie mogę wiedzieć, dopiero wśród boju sędzi się żołnierza.

— Może on też się tylko pyta, czyby mu ładnie było w mundurze, zauważał z uśmiechem Aleksander.

— Niepotrafiłby tak dobrze robić pałaszem jak wprawnie wybija laseczką po plecach swoich poddanych, rzekł Alfred — to wcale inne rzemiosło.

Ludwik podniósł głowę z junacką mi-

na. „Oho! zobaczylibyście, potem szeptał drwinkując. „Gdybyś ty ich tylko miał tych poddanych,,

Całe grono zwróciło swą uwagę na dwie kobiety którym się kłaniał Karól i Alfred.

— Córka dość ładna, wyrokował Ludwik niedbale, i wdzięcząc się rzucił na nią zabójcze spojrzenie.

— Błada jak trup odrzekł Zygmunt. Trza wiedzieć że nie lubił bladych, gdyż pani jego myśli rumiany miała buziaczek. —

Aleksander nie z mniejszą jak dwaj starzy spojrział obojętnością. Władysław wziął się do lornetki. Panienska zaś posiadała zapewne w wysokim stopniu uczucie piękności, bo z przyjemnością wpatrywała się w tę grupę naszą, choć ułożoną nie tak już artystowsko. Matka przyspieszyła kroku, bała się że-

by się nie skompromitowała jej córka, żeby za starającego się o nią, którego z tych panów co się im kłaniali, nie uważano, a obadwa jak wiedziała nie byli majątni. —

— Przystanieszże się oglądać?

— Uważałaś tam Mamo pana Lidowskiego? zapytała córka.

— Pana Lidowskiego, Ludwika Lidowskiego, o którym ciocia Janowa mówiła, co ma takie piękne konie, sześć pokoi froterowanych w swoim mieszkaniu, sukcesyą po babce, alboż ty go znasz?

— Nie znam, ale poznałam według tego jak mi go opisywano.

— Któryż to?

— Ten wysoki brunet w brązowym fraku, który się tak na mnie patrzył.

Obejrzały się obiedwie.

Młodzi ludzie spoglądali jeszcze za

niemi, gdyż Karól był powiedział: „Doprawdy żeby kto chciał napisać książkę pod tytułem: Wędrówki matki polującej na mężów dla córek, z tej pani typ sobie obrać powinien; a niezbrakłoby mu na wielu pociesznych szczegółach. Już trzy wydała, teraz z czwartą jeździ. —

— Ej moi panowie zawszeście złośliwi, rzekł pułkownik.

— Nie panie, tylko może zbyt trudni do ułowienia się w sidła małżeńskie. —

— No, proszę, szepnął Ludwik do obok stojących, tylko że te sidła niebardzo zastawiają na ciebie, mój ptaszku. —

— Mówiono żeś ty się kochał w panie Gabryeli, zagadnął Zygmunt Karola. —

— Ja, broń Boże! a to by mi się na co zdało?

— Kochał się kochał, słowo honoru, ja wiem dobrze, tylko się wypiera, zawołał Alfred. —

— A więc to dowód że się kocha jeszcze, zrobił uwagę Aleksander.

— Tak, tak, potwierdził milczący dotąd Władysław, gdy szął przechodzi, śmiejemy się już tylko z tego, cośmy wpiérw tajemniczo w głębi serca zachowywali.

— Czyż to tak często te szwały mienią się u ciebie hrabio? zapytał z uśmiechem pułkownik.

— O! dla mnie wszystko, co jest ubarwieniem życia, mija; więdnie szybko. —

— Cóż mam robić, mówił Karol, przyznać się muszę, że dawniej.. z próżniactwa wplątało się było serce moje, ale wnet zrobiłem sobie uwagi.....

— Odpowiedzieli mu, że niedostanie

panny, szepnął znowu niepoczciwy Ludwik.

— Szkaradni chłopcy, mówił Jenerał, ciągle obgadują te kobiety, a jednak stroją się, muszczą, gładzą aby się im podobać.

— To też im zawracamy głowy, łapią się biedaczki jak muchy na lep.

— Ej i nam się przecież powodziło, choć tyleśmy naszych czupryn nie gładzili, nie prawdaż Pułkowniku?

— Bo też za naszych czasów więcej na co innego uważano. Lecz choć człek nie był pewny czy jutro głowa na karku dosiedzi... byliśmy zawsze i do tańca i do różańca, nieprawdaż? i zeniliśmy się nie rachując posagu, mówiąc sobie: Zrobić karierę, będzie i dla mnie i dla niej.

— Mimo to jednak nie ożeniłeś się

panie Jenerale, odezwał się Karol żartując.

— Nie ożeniłem się, odpowiedział z westchnieniem Jenerał.

— A ja się ożenię, rzekł znów Karol. —

— Powiedźże twoje ultimatum, przerwał mu Ludwik, trzysta tysięcy posagu koniecznie.

— Ale dał słowo że pięćset złotych ustąpi, jak się rozmiłuje bardzo, dodał Alfred. Wszyscy śmiać się zaczęli.

— Wiecie co panowie, mówił dalej Ludwik, ułożyłem dla Karola dewizkę z którą każdej paunie na wydaniu przedstawiać się powinien. W różowém polu trzysta tysięcy napisane liczbą złotą, przytém wybitny znak zapytania, a pod spodem wybite sine qua non.

— Jaki mi dowcipniś, odparł Karol, dąsając się trochę, gdyż śmiech był o-

gólny. Kontent że ma z czego ząbki szzerzyć. O! nawet i pan Zygmunt się tém rozweselił, choć tak osowiały od niejakiego czasu.

— Prawda, podchwycił Aleksander, śmieszek Zizio, coś nam zesmutniał.

— Tak, tak, opuścił skrzydełka, kocha się nieborak.

— Kocha się, wykrzykniono, kocha się po pierwszy raz. Wiwat! musi nam dać śniadanie u Marego żebyśmy wypili za zdrowie jego lubej.

Zmieszał się, zczzerwienił Zygmunt, aż się Jenerał ujął za nim.

— Dajcież pokój biednemu młodzieńcowi.

— Chciałby się nam wywinąć od szampańskiego. Ci wieśniacy skąpi straszliwie, pieniądze u nich pleśnieją w kieszeni.

— A u tych Warszawiaków kieszenie

zawsze chude, jak ich policzki, szepnął Karol, podczas kiedy chcąc zbyć wydrwiszów Zygmunt mówił:

— Dam wam, dam szampańskiego ile zechcecie, kiedy zechcecie, macie na to słowo moje.

Matka z bledziuchną córką znów zakręciła w tę stronę i dla świeższego powietrza zapewne przechadzały się wzdłuż bocznej ulicy. „To dla mnie” pomyślał sobie niejeden z młodzieży uważając spojrzenia panny.

— Ładna, ładna, wcale ładna, wyrzekł Ludwik.

— Co to tam taka piękność, przerwał Jenerał, za naszych czasów to były śliczne kobiety, jak łanie, jak róże. —

— Za pańskich czasów to wszystko było dobre i piękne, powiedział Alfred, panowie szczęśliwi, słowo honoru.

— Mój Boże! jak piękne były moje młode lata wśród huku dział wielkich bitew co je zapisała historia, wśród gorącej a zmiennej Włoszek miłości i utarczek z bandytami Kalabryi. Tam moje wspomnienia, i zamyślił się chwilkę.

— A dla mnie w Sevilli całe Niebo było. Sevilla! roszkowne miasto, gdzie nie wiedziałeś na co chętniej patrzeć, czy na cudne czarne oczy, co świeciły z pod mantyl, czy na drobne nóżki z niezrównanym stąpające wdziękiem. Tam stojąc byłem już kapitanem, miałem krzyż legii honorowej i lat dwadzieścia. —

— Mnie zaś mówił Władysław z tych okolic została tylko pamięć, często niesmacznego obiadu lub przykłej drogi. Nikczemne życie moje, dodał wzgardliwie. —

— Moje wspomnienia, mówił smutnie Aleksander, dalekich stron nie sięgają, lecz prawie wszystkie bolesne tylko. —

— Otóż, Panie Pułkowniku, rzekł Ludwik, żona Pana i córka się zbliżają jakby dla przekonania, iż nie trzeba jechać do Sevilli, aby ładną nóżkę zobaczyć. Wszyscy, obejrzeli się na idące dwie kobiety. Jedna z nich niska i w wieku, druga nie więcej jak dwadzieścia dwa lat licząca, a już od roku rozwódka. Hrabia prosił pułkownika żeby go im przedstawić. Karol nie znał ich jeszcze. Obrócił się do Ludwika i prawą ręką na lewej dłoni zrobiwszy znak jak gdyby liczył pieniądze, spytał cichutko: czy?... Ludwikowi oczy błysły drwiącym śmiechem lecz potwierdził skinieniem głowy. Karol zatem zbliżył się do dam i także zażądał być im przed-

stawiony. Porozmawiano trochę o wyścigach, teatrze, spacerach i przechodzących znajomych. Ukłoniono się temu, roześmiano się z tego, o tej znowu opowiedziano sobie jakiś szczegół osobliwy.

— Otóż cała zgraja tych panów już ogród opuszcza, rzekła pani Amelia D. córka Pułkownika, widząc razem wychodzących ze dwunastu młodych ludzi, z długimi włosami, w białych rękawiczkach i starannie wyszczotkowanych frakach.

— Ach! to jakaś hołota, zbiór różnych chłopców sklepowych, wszak to dziś Niedziela, rzekł Alfred. Zdążają zapewne gdzie do ogródka na piwo czy podwieczorek, usłyszeć śpiewy harfiarek lub trąbkę Rajczaka.

— A mnie policzyszże do hołoty, Al-

fredzie, gdyż z przyjemnością słucham Rajczaka, rzekł Aleksander.

— I ja też, dodał Jenerał, wszak to kolega.

— Kto to ten Rajczak? spytał Hrabia. —

— Dawniej trębacz kapeli wojskowej dziś tylko niewidomy artysta.

— Muszę go słyszeć i to dziś jeszcze, bo mam czas wolny, ale gdzie się udać nie wiem.

--Będę ci towarzyszył kochany Hrabio, rzekł Alfred.

Zaczęto się żegnać, gdyż panie już chciały wracać do domu. Poszli z nimi obadwa starzy i Karol, a Aleksander wzięwszy Ludwika i Zygmunta, pojechał skończyć dzień ze swoją narzeczoną. —

— Gdzie zostawiłeś twój powóz Hra-

bio? pytał Affred Władysława wychodząc. —

— Ja przyszedłem piechotą.

Dziwnie pociesznie skrzywił się Alfred. On byłby tak rad poparadować w koczyku z herbami po tych ulicach, których bruk szlifowały jego podeszwy, nie ledwie od czasu jak chodzić zaczął. W skromnym mieszkaniu, na Oboźnej ulicy, mieszkali Pułkownikostwo, zajeżdżały tam jednak wykwintne karéty, stali w bogatych liberyach lokaje.

Odwiedzali ich bowiem często ludzie, którym pieniądze nie zawróciły głowy, nie pokrzywiły wyobrażeń, ludzie umiejący cenić i szanować osobistą zasługę. Głupcy, co widząc pierwszy raz człowieka, nie pytają się jaki on jest, ale kto go rodzi, co sądzą się być uwolnieni od najprostszej grzeczności względem tych, na których modne nie błyszczy odzie-

nie, nie zajrzeli tam nigdy chyba przez
manią naśladowania. Ukochana jedy-
naczka Pułkownika, ledwo minęło temu
cztery lata, jak ze ślubnym wiankiem
na czole o błogosławieństwo Rodziców
prosiła. Oni płakali nad miłym dziec-
kiem, przebaczyli że mimo ich przed-
stawień łączyła się z człowiekiem, które-
mu oni nie z wielką ufnością jej los po-
wierzali. Trafne było Ojca i Matki
przeczenie, w trzy lata do ich domu
wróciła Amelia z zapadniętymi od płą-
czu oczyma, ze zbolałym, zakrwawio-
nym sercem.

Mieszkała samotnie przy Rodzicach,
unikając towarzystw, jakby miała urazę
do świata całego, o tak wczesne tak ra-
ptowne zbudzenie się z marzeń młodo-
ści. Karolowi podobała się bardzo:
„Jedynaczka pomyślał, i przecież Lu-
dwik nie zwodziłby mnie.” Już różne

po głowie snuły mu się projekta, niewyraźne jeszcze ale zawsze rokoszne, już myślał nieledwie na co posag żony obróci, gdy w tém jedno słowo Pułkownika wszystkie jego widzenia spłószło. Dowiedział się wśród rozmowy, że dochody tej rodziny powiększej części się składają z dożywotniej pensyi, którą pobierał Ojciec. „A więc na cóż mi się to zdało, mruknął sobie młodzieniec; przekłety Ludwiku.” I niecierpliwie siedząc na krześle, urwał guziczek od rękawiczki, spuszczał i podnosił oczy, których spojrzenia już był na ton miłosny nastroił.

Szczęściem przybywa ktoś nowy — Panna Gabryela z Matką. Mówią że do tej młodej osoby czuł był Karol pierwszą szczerą miłość, dla której byłby może zapomniał o swoim ultimatum i przestał na miernym posagu, ale tu

znowu matka Gabryeli stanęła na przeszkodzie. Matka zimnym starego rozsądkiem zważyła, że nie wiele wart na męża człowiek, którego wydatki dochody nieledwie przewyższają i powiedziała także: „na co się zdało? Panu trzeba bogatej żony a mojej córce bogatego męża.”

— Kochana pułkownikowo, mówiła teraz siedząc na kanapie pochyliwszy się ku pani domu podczas kiedy nieco oddalili się mężczyźni, kochana Pułkownikowo, jakby to zrobić żeby się moja Gabryela podobała temu Ludwikowi Lidowskiemu.

— Bo to podobno krociowy kawaler, dodała córka harde rzucając spojrzenie na Karola, który się do niej wdziałył z drugiego końca pokoju.

— Zapewne że mu się podoba pan-

na Gabryela jak ją zobaczy, odrzekła pułkownikowa.

— Właśnie téż dziś ją widział, tylko że mi jakaś blada była i posępna, nie wydała się pewno.

— Panna Gabryela każdemu piękną wydać się musi, powiedziała znowu spokojnym swym głosem pułkownikowa.

— Myślisz tak pani kochana. Wszak prawda? śliczne dziecko moja Gabryelka, warta dobrą zrobić partyą. A przekonałam się że daleko mężów szukać nie warto. Ci wszyscy kawalero- wie tacy leniwi, pięć małych mil nie chce im się jechać do panny, chociażby najwięcej się podobała. Lidowscy zaś, mieszkają od nas trzy mile a z jednymi memi krewnemi sąsiadują i w wielkiej są zażyłości.

— Zna pani państwa Lidowskich?

— Jego samego widziałam, ale jej

nie miałam nigdy sposobności poznać.
 — Szkoda, bardzo przyjemna osoba. Są i dwie już dorosłe panienki i drugi syn jeszcze dziecko, będą u nas jutro wszyscy na herbacie.

Matka spojrzała na córkę.

— Kiedy ci też krawiec obiecał zrobić tę pąsową suknię spytała.

— Na jutro rano Mamo.

— Jeżeli cię tylko nie zawiedzie. Tobie tak ładnie w pąsowym. Nie prawdaż jak dobrze i ozdobnie suknie robią mojej Gabryelce.

— Taka kibić suknią zdoła, podchwycił Karól, który właśnie zbliżał się do kobiet, i mimo surowych spojrzeń panny Gabryeli, silił się powiedzieć jej coś przyjemnego. —

Rozmowa na inny skierowała się przedmiot, tylko jeszcze troskliwa Mamma szepnęła:

— Kochana pułkownikowo, pamiętaj wszystkim powiedzieć, że moja córka wcale nie jest zaręczona, z tym oto panem, jak niektórzy mniemają i że z tego nigdy nic nie będzie.

— Kiedy się późnym już wieczorem rozłączało towarzystwo, pułkownik mówił do matki i córki odprowadzając je do przedpokoju.

— Dziękujemy paniom za miłe odwiedziny, prosimy częściej raczyć nas tą przyjemnością.

— O! mówiła matka, my gotowe natrętne stać się państwu, tak nam wesoło chwile upływają w ich domu. Córka pańska co za miła osoba, moja Gabryelka wyraźnie się w niej zakochała, gotoweśmy jutro wstąpić do państwa, jadąc z obiadu od Prezesowej.

— Bardzo prosimy, rzekł pułkownik,

całując jej rękę, kilka też osób nam się obiecało na herbatę.

Tymczasem Ludwik Lidowski ani się domyślał, że polująca na mężów matka jego wzięła na oko, i już nie pojedzie do wód tego lata, tylko swoich krewnych a jego sąsiadów odwiedzać będzie. Chociaż Ludwikowi panna Gabriela ładną się wydała, już teraz zapomniał o niej i lubo często wśród swęj mowy kładł „ja się ożenię” wcale o tém nie myślał.

Gospodarował sobie w swoich wioskach, zbijał jak mógł najwięcej pieniędzy na wyjażdżki do Warszawy. — Nie skąpy ani też rozrzutny, nie lubiąc nic zbytecznie, gotów do wszystkiego, słowem był dobrym, doskonałym chłopcem. Poznać to łatwo po jego otwartym szczerym śmiechu, z jakim się mie-

sza w rozmowę żartobliwą ciotecznego brata Zygmunta, i starszej swęj siostry wesołej brunetki, która dowcipna drwiąca, nieco uszczypliwa, ze wszelkiemi pozorami złośliwości była najlepszą w świecie istotą. Jej siostra to co innego. Jmieniem Aniela i z anielskim twarzy wyrazem, miała tylko słodki uśmiech, słodkie spojrzenia dla wszystkich, a jednak służący mówią, że Aniela wcale nie anielskiej dobroci, że i uszczypnąć umie kiedy się zniecierpliwi, i uderzyć w twarz aż zęby szczęką. Być może, ja strasznie w dobroć tych słodziuchnych twarzyczek nie wierzę. Lecz czy podobna o złość ją posądzić, patrząc teraz na nią słuchającą z przymileniem tkliwych słów narzeczonego.

— Musisz mię pani kochać za wszystkich krewnych, mówił jej Aleksander, mnie siórotę, który nie mam nikogo.

— Brata Pan nie rachuje?

— Mój brat swoją rodziną, swemi interessami zajęty, tylko kobiéta może miłość matki zastąpić.

— Pan byłeś ulubionym dziecięciem swojej mamy, jak mi mówiono.

— Tak byłem łagodnym, posłusznym, i mnie nad porywczego Władysława przekładała, a ja ją opuściłem, ja jej śmierć przyspieszyłem, umartwieniem, tęsknotą. Lecz cóż? jakże wtedy zrobić było inaczej.

Czyż przewidywałem, ja zapalenie młody, zepsute dziecko nieumiejące pojąć całej rozciągłości przywiązania Matki, że ona to przypłaci życiem.

— Czyż dawniej chorowała często?

— Nie, ale była niezmiernie tkliwa na wszystko. Kiedyśmy obadwa, lat temu jedenaście blisko, za granicę wyjechali, nie wiedzieli o tém rodzice, aż

dopiero Ojciec dowiedziawszy się, napisał że chce aby jeden z nas powrócił być im podporą w starości. Ciągneliśmy na losy. Mnie pozostać wypadło—cieszyłem się niebacznym. Bolesław wracał z żalem. A Matka już chora trochę spodziewała się nas obudwóch. — Choć cierpiąca, osłabiona, po całych dniach wyglądając na drogę, samego Bolesława zajeżdżającego dostrzegła. Jeden, jeden tylko, krzyknęła i ledwo miała siłę zapytać który? tak jej już mówiło przeczucie że to nie jej ukochany. Zemdlała przy przywitaniu, mego brata, i od tego czasu coraz gorzej była. A oni nie mi o tém nie donosili, nie aż długo potem wśród tułactwa mego, utęschniony za jej troskliwem przywiązaniem nie odbierając żadnego od niej listu, domyśliłem się sam że nie żyje... od tego czasu tém goręcej pra-

gnałem złączyć się z kobietą, co by mnie serce podobne jej sercu oddała, i postanowiłem że to musi być rodaczka moja. Gdy rok temu przyjechałem tutaj, nie zastałem już i Ojca.

— Nie mów Pan o tych smutnych rzeczach, słuchać nie mogę, zaraz mi się słabo robi.

— A ja znowu lubię mówić o tych co mię kochali tyle, lubię smutne wywoływać wspomnienia, i zdaje mi się, żeby to było niewdzięcznością, usuwać z pamięci drogie nam osoby, dla tego że myśl o nich łązy nam wyciska.

— Patrz pan, zawołała raptem Anieła, co też to robi moja siostra! Wszak to ona obwija głowę swemu pieskowi, którego wczoraj drugie na ulicy pogryzły. Prawdziwie żeby się tak na ranę, patrzeć trzeba mieć serce kamienne.

— Owszem trzeba mieć dobre serce,

rzekł Zygmunt który to był dosłyszał. Pocziwa kuzynka chce ulżyć Filutkowi, płótno się usunęło i krew ze skaleczonego miejsca idzie.

— Oho! jak się Zygmunt ujmuje, rzekła Aniela ze śmiechem, a to dla tego że rumiana Anusia za jedyną i największą ma przyjemność liczyć wieśniaków, opatrywać ręce złamane, nogi skaleczone. Fe, mówić o tém już bierze odraza.

— Jak to Anielo, zapytał Aleksander, pokazując szeroką na czole bliznę, gdyby ta rana otwartą była, a z niej lała się krew, ciało i żyły przezięrały, czyżbyś miała odrazę opatrzyć ją twą białą rączką?

— O! to co innego, pośpieszyła wykrzyknąć Aniela.

Jeszcze nie byli po ślubie.



IX.

Wiatr wieje mroźny, śnieg skrzypi pod nogami, Styczeń; jak brzydko na wsi. W nocy więcej wilków zobaczysz, niż w dzień ludzi, wszystko ubielone, drzewa, wśród tego tła jasnego swe ciemniejsze wyciągając ramiona, przerażają jak widma. Wszystko co żyje pod dachy się tuli. Człowieka, ogień buchający na kominie wabi wesołym traskiem, a później katarem odplaca za bli-

skie przypatrywanie się. Jak smutno na wsi! Chrońmy się do miasta. Tam teraz życie, tam teatru, muzyka, bale, zgromadzenia ruch ciągły, co daje o przykrościach zimy zapominać. Warszawa znów ładna, świetna, wesoła. — Ci cały rok żyli tak na wsi, że o ich istnieniu ledwo wiedziano w sąsiedztwie, a teraz na karnawał wynajęli pół kamienicy, przyjmują w dużych salonach, bardzo z nich pyszni, choć tam dość ciemno przy kilku świeczkach. Ci znowu na nic nie żałują. W ich salonach światła, jedzenia obficie, służba doskonała. Przyjechali bowiem z czterema córkami na karnawał. — Karnawał! jakąż to doskonała pora dla wszystkich próżniaków, którzy oddalili się ze stolicy dla konieczności zatrudnienia. Jak wyborny pozór aby przyjechać na powrót. „Jedź gospodarować na wieś

mój synu, nie masz tu co robić mówi matka martwiąca się, że synalek trawi cały czas wśród kart i baletów, po wizytach i cukierniach, a potem pisze w krótkce do niego: „przyjedźże się rozerwać na karnawał.” Na karnawał pośpieszają nie dla samego tańca, zabawy. Lubownicy Faraona, diabełka, rachują na świeżo sprzedaną pszenicę wiejskich dziedzi-
ców. Łakotniś na obiady u Marego, który zarobi mentorując jakiemu nie-
świadomemu. Młodzi urzędnicy spodziewają się że ich będą ciągnąć do po-
sażnych szlachcianek. Strojne War-
szawianki wyglądają rumianych wiel-
bicieli ze wsi, którzy otrząsnąwszy się
ze wszystkich kłopotów gospodarskich,
przybywają swobodni z pełnym wor-
kiem i świeżem sercem.

Na wsi się żeniąc, trzebaby chyba nie
siać i nie orać jednego roku. Jeszcze

jeżeli panna mieszka o jakie cztery mile, zginąłeś! Naprzykład raz zobaczyłeś w kalendarzu, że to imieniny jej ciotki starej, która bawi u jej rodziców i ma przeważne zdanie w domu. Wartoby jechać samemu złożyć życzenia. Dobrze, zachodzą konie, ty z zadowoleniem kończysz pod brodą najoryginalniejszy węzeł w świecie, gdy w tym mający zawsze wolny przystęp pachciarz, na pół drzwi uchyliwszy, mówi kłaniając się krymką. —

— Jasnie Panie! (trzeba wiedzieć, że u nas tytuł wielmożnych, zostawia niedługo dla samych ekonomów) Jasnie Panie, jakie Woły widziałem!

— Gdzie?

— W Woli Poleskiej są na sprzedaż we dworze.

— Potem mi o nich powiesz, teraz idź precz.

— Ach! Jaśnie Panie! Cztery Woły, długie, rosłe, jak się rozpasą, przynajmniej po pięć dukatów zarobić będzie można. —

— Doprawdy? piękne woły mówisz. Sam je będę chciał zobaczyć pojutrze na jarmarku.

— Na jarmarku! albo one będą na jarmarku. Pan z Zabrewia już daje po dziesięć dukatów i dziś je może jeszcze weźmie.

— Postap po dwa złote na sztuce. — Ileż oni chcą?

— Chcą po jedenaście dukatów. — A z przeproszeniem pańskim ja się dać tyle nie odważę. Gdyby Jaśnie Pan sam obéjrzał.

— Głupis, widzisz że wyjeżdżam. —

— No, to co robić. Pan z Zabrewia pewno je zakupi.

— Czterech wołów powiadasz. Szkoda! miałbym już komplet opasów.

— A jakie sztuki żeby tylko Jaśnie Pan widział. Pewno bym dostał za wyszukanie ich faktorne.

— Daleko ztąd do woli Poleskiej?

— Ej! nie bardzo. Trzy mile rachują.

— Hm! jak tu zrobić?

— Z przeproszeniem Jaśnie Pana, jechać tam gdzieś później, wszak to nieucieczce, a woły jak zakupi pan z Zabrewia.

— Hej! woła pan przekonany. Niech tam będzie gotów konny posłaniec, pojedzie z biletem. — Nie ma rady, muszę dziś sam jechać do Woli i dobić targu. W myśli zaś dodaje: „Z tamtém kończę na karnawał.”

Na karnawał spieszy do Warszawy, nie tylko kawaler elegant, należący do: tak nazwanego bon genre; widzimy tu także choć na jednej Resursie, choć na

jednym balu w Ratuszu, kawalera gospodarza z małej dzierżawy lub chudego dziedzictwa, syna skąpego, skąpszego jeszcze ojca, który wysłał do stolicy swego Stasia czy Adasia, swoją prawą rękę i dał mu ze trzysta złotych, aby sobie kupił ubranie kompletne, jemu samemu czapkę aksamitną, matce potrzebną nadziewałnicę do kiełbas, siostrze trzewiki z bandażami, dla młodszych dzieci pierników, próbę Maggiera, i z pół korca anyżu; reszta pozwalała mu użyć na swoją rozrywkę. Miarkować można jak tanio wymyślić sobie musiał rozrywkę biedny chłopiec. Kupił dla oszczędności frak trochę noszony i kamizelkę od żydów, w czem wszystkim tak sobie znalazł dobrą minę, że umyślił pokazać się światu. Chcielibyśmy też i my swoje zdanie móżdż o nim powiedzieć, lecz to trudno doprawdy. Po-

wierzchność widziany: włosy jasne,
 nos średni, oczy ani wielkie ani małe,
 wzrost nie olbrzyma ani też karła, to
 wszystko jednak nie daje nam poznać
 człowieka. Wszakże poznają ludzi z czy-
 nów, z mowy, uważmy więc. Ten pan
 jest doskonałym ekonomem, ludzkość i
 uczynność uważa za jakies techniczne
 wyrazy, potrzebne tylko w szkołach na
 temata do ćwiczeń. Kłanie kiedy jest
 w złym humorze, śwista kiedy wesół,
 nie opuści żadnego jarmarku, książki
 nie tknie się żadnej, wolne chwile naj-
 milej mu spędzić w brudnym szlafroku
 z ulubioną fajką. Jeżeli go przypad-
 kiem gdzie spotkasz w sąsiedztwie, nie
 sil się wiedzieć jego sądu o rzeczach,
 może nawet jego głosu nie usłyszysz.
 Patrz, wchodzi, uśmiechnął się pociesz-
 nie, uklonił wcale oryginalnie i stanął
 pod piecem. Potem zatarł ręce, usiadł.

Podają mu co do jedzenia, zajada bardzo spokojnie nie turbując się o drugich, szczęście jeżeli jeszcze nie stłukł kieliszka lub nie wyrócił filiżanki. — Ot już i najadł się i napił aż mu nos poczerwieniał. Patrzy teraz czy nie rozkładają zielonego stolika, lub pyta pół-głosem syna domu. „Nie można by gdzie fajeczki wypalić.” Jeżeli się bardzo rozgada, powie co o swych zrebakach, o chartach jak goniły zająca, a on za niemi koziółka wyrócił. Ale to wszystko półgłosem, wśród wielkiego śmiechu wyrzeczzone ledwo się da sły-
 szeć kilku wybranym. Teraz spogląda zukosa na kobiety które śmieją się lub ziewają w drugim końcu pokoju, lecz żeby rozmawiać z niemi, broń Boże! do tego się nie posuwa. Żegna się ureszcie i wychodzi. W drodze mówi do jadącego z nim znajomego; uważałeś Petrunię?

jak mię prosiła siedzieć, pokazując krzesło blisko niej będące. Słowo honoru daję, nie można bywać po tych domach, zaraz gotowi myśleć, że się człek stara o którą." Lecz zapomnieliśmy że nasz gospodarz w Warszawie. Robiąc sprawunki najpomyślniejszym w świecie trafem, spotkał kolegę szkolnego, który mu dał bilet na bal Resursowy. Otóż niecierpliwie oczekiwana Sobota, wchodzi na salon nasz panicz pyszny, ze swęj figury i z swej nowej kamizelki. Co osób! jaka mnogość światła! aż mu się usta rozwarły wniemem podziwieniu. Wszyscy tańczą, huczna gra muzyka i jemu też nogi zadrzały. Porywa pierwszą z brzegu kobietę i dalej walca. Trzy, cztery razy obiegli koło, już inne obok nich nastąpiły pary, a oni jeszcze tańczą.

—Daruj Pan, nie mogę więcej, mówi dama.

— To nie, odpowiada zapamiętały tancerz, zbieraj Pani prędkiej nogi. I ująwszy ją silnie walcował bez odetchnienia, aż mu prawie w rękę omdlała. — Wtedy puścił ją na ławkę, a sam potężnie oddychając wyjął chustkę z kieszeni. „Z którą to ja tańczyłem myśli sobie, jakaś ciężka.” Poznał ją odrazu nie po rysach twarzy, bo się był wpiérw na nią nie spojrział, lecz po dużych kroplach potu spływających z bladego czoła. „Ej brzydka, rzekł sam do siebie, stanąwszy na przeciw i rozpatrzywszy się wniej, szkoda że nie wziąłem tej w niebieskim, jakaś okrągłuchna.” Zagrali mazura. Rzuca się do nieszczęsnej panny w niebieskim, wyskakuje z nią najpiérwszy, myli figury, łamie szyk koła, tańczynieustając. Nie nasza teraz kolej mówi mu panna.

— To wszystko jedno, odpowiada z tonu niezbity i skacze dalej zmęczony,

zzerwieniony, zziajony. Nie czeka aż drudzy zaczną, on zawsze pierwszy z głową naprzód, z wyprężonemi nogami, machając ręką zapamiętale, ciągnąc pannę za sobą, obcierając mokre czoło, nie zważając na nic byle tylko użyć tańca, nasycić się nią na nok cały. Wreszcie posadził swoją tancerkę, zapewne aby ją zabawić rozmową. Mylicie się, czyż nie dosyć że nogi jego w takim nuchu, aby sobie jeszcze miał język męczyć. Alboż to on mało się nakrzyczy na ludzi przy gospodarstwie, żeby teraz nie wytochnął swoim pierścion? Od czegoż zabawa i to jeszcze w Warszawie. Jemu się jeść zachciało i poszedł do bufetu przejrzeć czy nie spotka kogo znajomego, co go może puczęstuje, gdyż sam ma tylko dwa złote w kieszeni, a nawet pierników dla dzieci nie kupił. Stał i oglądał się długo, aż na-

gle wzięwszy postanowienie, zawoła szumnie: „Szkłankę lemoniady!... wypadło rzucić na tackę jedną ze złotych, choć mu było bardzo boleśnie rozdzielać ją z towarzyszką. Ochłodzwszy się przypomniał sobie że mazur nie skończony. Wrócił do salonów, już grali kontredansa, udaje się znów do panny w niebieskim którą był sobie jakoś dopasował.

— Jużem zamówiona, odpowiada mu cierpko.

— To następnego mazura Pani pozwoli ze mną.

— Także mnie zamówiono.

— Jakto zawołał groźnie, na wszystkie tańce zamówiona.

— Wyjeżdżamy zaraz rzekła matka przelekkła.

Nasz kawaler wziął drugą pannę, potem inną znowu. Tańczył tak że pe-

wno ze cztery kobiet tego wieczora w niebezpieczeństwo suchot wprowadził, tańczył do upadłego, bo mu sierotka złotówka stukocząc po obszernej kieszeni, przypominała że jutro wracać do domu potrzeba. Jakoż nie rozwiadło się zupełnie, a on już przejeżdża przez rogatki wyciągnięty na bryce i przyciskając do ust długi cybuch w zadumanu pełnem stoicyzmu. Szczęśliwej drogi, my wróćmy do stolicy.—

Ona, jak wszystkie wielkie miasta, właściwie dopiero ku południowi ludną być zaczyna. Kobiety wychodzą za sprawunkami, wyjeżdżają na spacer lub w odwiedziny. Mężczyźni snują się rojami, wstępują do sklepów i cukierni. Krzyżują się pojazdy, głuszą dzwonki sanek. Wieczorem znów z domu wywołują teatr, koncerty, bale, wieczory tańcujące, wistowe tygodniowe, lub

nadzwyczajne, masz je wszędzie. U bogatjej Hrabiny co całą zimę w Warszawie spędza, u mecenasa, u kupca, w salonie po kilka dukatów opłacanym dziennie wiejskiego obywatela, wszędzie tańczą, wszędzie się bawią. Tu stoją karęty, koczce, tam kobiety różnemi sposobami przeprowadzają przez śnieg lub błoto nieuszkodzone swe prunelowe trzewiki, i mają się za bardzo wielkie panie nakładwszy świecideł i atłasów. Są oprócz tego różne miejsca zgromadzeń na pączki, na piwo bawarskie. Są srebrne i złote sale, katarzynki w szynkach, gdzie zdjąwszy liberyą, z dziesięć godzin za pięć groszy wywijają sługusy. Całą prawie noc gwar, ruch nie ustaje. — Jada, chodzą, zajeżdżają. Ledwo koło czwartej zasypia klasa próżniacza kiedy zaczynają się budzić ubodzy, ci dla których nie ma

karnawału, którzy muszą codziennie zarabiać na chleb i drzewo.

Godzina ósma zrana. Zmierzch trwa jeszcze, przeto głucho na ulicach, tylko gdzie niegdzie widać kucharkę idącą na targ, z koszykiem, zaczerwieni się kołnierz studenta lub policyanta, przechodzi wysmakła, czarna kominiarza postać.

Na Miodowej ulicy Kościół otwarty. Choć Kapucyńni odmawiają jeszcze pacierze na chórze, już zakrystyan świece u wielkiego ołtarza zapala. I nie wyszło kwandransa a na ulicy, kilkanaście zatrzymało się doróżek. Słab będzie. O! nie dziw że tak pilił pan młody, aby rano jechać do Kościoła. Jego oblubienica czterdziesto-letnia wdowa, brzydka, a on to Alfred, zaledwie ich liczy dwadzieścia sześć. — Cóż mu tak stan kawalerski obrzydziło, że może podo-

hne zawierać związki? Brak pieniędzy i ochoty do pracy.

Alfred był synem mydlarza Warszawskiego, który wyjątek z pomiędzy wszystkich kolegów swoich, nie zostawił majątku odumarłszy wczesnie dzieci. Tym pozostała jeszcze matka i wuj urzędnik w Banku. Alfred najstarszy z nich, pieśczoł wielki nie obawiający się nikogo, po całych dniach próżniaczył się, biegał po ulicach, puszczał latawce z Denasoskiej góry. Choć go do szkół oddano nie był pilniejszym, ale owszem wśród tylu kolegów, rozwinął się jeszcze jego gust do różnych wypraw, z których najulubieńsze na Franciszkańską ulicę, klęską były dla jej brodatych mieszkańców. — Jednak Alfred nie tyle był roztrzepanym jak leniwym, lubił wszystko co go od zatrudnienia oddalało i włóczył się z drugimi po u-

licach, nie dla figlów, lecz płatał figle aby się włóczyć. Skończył szkoły i chociaż odmieniony na pozór, pozostał w gruncie tym samym. Nie był to już rozczochrany student, ale wymuskany młodzik z laseczką w rękę i nosem do góry błędzący po mieście. Teraz go zajmowały publiczne spacer, widowiska. Epoki swego życia liczył od wyjażdżki na Bielany, od szlichtady na wiejską kawę. Lecz matka nie mogła długo dostarczać pieniędzy, przedstawiono potrzebę pracy paniczowi i narzeczcie wuj umieścił go na aplikanta w Banku, wzięwszy pod swą szczególną opiekę. Pocziwy często go swoim zasilał groszem, przez to jednak w tém większe prawo łajania wchodził. — A wszystkiego pokornie słuchać trzeba było. Alfred do tego nawet doszedł

tyczne rozpoczynał kazanie, że niemal z radością każde zelżywe słowo rachował, gdyż w miarę prawd zbyt grubych dostawał potem złotówki. Stary urzędnik był zawsze niezmiernie ujęty powolnością z jaką Alfred słuchał uwag jego, i zwykł był mawiać siostrze sposobem pocieszania, po różnych na jej syna utyskiwaniach. „Jednak, da Bóg, zobaczysz, że z niego będzie kiedyś człowiek.” Po czterech latach dochrapał się Alfred dwu-tysięcznej pensyi. Dwa tysiące a być ładnym chłopcem, mieszkać w Warszawie, lubić przechadzki, próżnowanie, mój Boże! jak to mało! Wcale nie głaskał miłości własnej Alfreda, jego nowy tytuł, choć wuj ciągle go wbijał w dumę. „Tyś urzędnik przecie. No, już na swym chlebie, możesz robić według swej woli.” Nie łajał więc, ale też nie niedawał, niestety. Nawet się

spozrzegł że chłopca mieć na opiece nie warto. Tylko patrzy rychło z gniazda wylecieć. Skutkiem téj uwagi przeniósł wszystkie swe pieczyoty i łajania na najmłodszą siostrę Alfreda.

Młody urzędnik udawał, jak mógł, oszukiwał nieledwie samego siebie, że ma dosyć. Lecz często doszły go drwinki młodych znajomych, gdyż starał się żyć z najmajętniejszemi i wyrównać w ubiorze, rozrzutności. Nie raz domyślili się roztrzepańcy, że on dawszy im śniadanie w pierwszej restauracyi, musi potém dobrze ze dwa tygodnie, oblać szklanką piwa, chlebem, i serdelkiem od przekupki.

Smieli się serdecznie między sobą, choć jego butelką wina nie pogardzili i nie jeden, któremu zabrakło funduszu, rzekł ze śmiechem do drugiego: „Słowo honoru, jestem dziś tak wielki pan

jak Alfred.” Alfred jednak jak mógł, tak im dotrzymywał placu. Nie dostrzegłeś nigdy u niego przybrudzonej rękawiczki, nigdy źle ułożonego krawata.— Nie można nic było zarzucić jego sposobowi kłaniania się, chodzenia, siadania. Umiał kilkanaście słów powiedzieć po francuzku od niechcenia. Z zachwycającą niedbałością odrzucał z bladego czoła gęste pukle włosów, słowem, il est très bien mówiły kobiety.

Ale cóż z tego wszystkiego? lata upływały, a tu zawsze dwa tysiące tylko i to jeszcze do biura regularnie chodzić kaza, nawet zagrozić raz śmieli utratą tej bagatelnej pensyi, która tak zawsze nie wystarcza, nad której wydaniem dobrze przemyślać należy, żeby zawsze kupić tylko to, co najgwałtowniej potrzeba. Alfred, wyznać musimy, mimo wszelkich słabości i próżności, był bardzo

rozsądnym. Do dwudziestu pięciu lat, roił sobie jakąś bogatą dziedziczkę, młodą, piękną, rozumną, która ugodzona jedną miłosną strzałą jego oczu, będzie się miała za szczęśliwą jego rękę przyjąwszy, dopomóż mu do wzięcia dymissyi. Lecz kończąc dwudziesty szósty rok życia, powiedział jedną razą drugiemu Warszawiakowi, swemu przyjacielowi od serca. „Zenię się.” Gdyż przyjęła jego oświadczenie, właścicielka dwóch dużych kamienic, wdowa, której smaczne obiady, Alfred dotąd, bez namysłu, grzecznościami dobrze wychowanego młodzieńca odpłacał. Lecz gdy się spostrzegł, że dama rozumie więcej niż mu przeszło przez głowę, zastanowił się, że ożeniwszy się z nią, będzie mógł nie chodzić więcej do biura, (a biuro ma się rozumieć obowiązek urzędu) było jak się wyrażał sa bête noire,) wy-

rachował sobie, że za trochę pieszczot rzuconych jałmużną starej babie, mieć będzie kilkanaście tysięcy dochodu. — Tém wszystkiém skuszony potężnie, co-raz silniej popierał interes, i obejrzeć się na przyszłość niemiawszy czasu, znalazł się przed ołtarzem u Kapucynów z ręką stulą przywiązaną do drugiej ręki. Skończony obrzęd — wszyscy napowrót do dorózek i Steinkelerek(,,) wsiadają. Już i ruszyli. Życzymy szczęścia. Nie wyszło dobrej godziny, zajeżdża przed Kapucynów drugie wesele, świetne liczbą pojazdów, doborem koni świeżością liberyi. Kto siedzi w tej otokarecie? Aleksander już z żoną, z dawniejszą panną Anielą Lidowską. Kiedy wróciwszy do swęj rodzinnej zagrody, powiedział znajomym: „przyjecha-

(,) Steinkelerki, karety publiczne.

łem się ożenić z rodaczką, szkoda że się nie zdał na instynkt serca, że się jemu raczej nie dał poprowadzić w wyborze a nie usłużnym sąsiadom, którzy go zaraz wzięli w opiekę, obiecawszy wyszukać towarzyski życia i przedstawili zaraz jako starającego się w domu państwa Lidowskich. Przed nim zaś wyrzekli o starszej córce. Ta nic nie warta na żonę, trzpiot, wydrwisz, każdemu łatkę przypiąć musi, ale Anieli to Aniołek wyraźnie, ale jaka gospodyni! przytém jej babka na dwóch wsiach zostawionych Ludwikowi czterdzieści tysięcy zapisała. Aleksander uwierzył wszystkiemu na słowo, zakochał się tak jak łatwo zakocha się w młodej kobiecie mężczyzna, kiedy ma do tego chęć rzetelną. Lecz powtarzam czemuż się spieszył? czemu drugim wyjawiał sieroctwo serca swego, tę kochania potrzebę, któ-

ra znalezieniem dozgonnej towarzyszki zaspokoić się spodziewał. Gdyby się był zdał na Opatrzność, na traf jaki szczęśliwy, byłby może nie tak często po ożenieniu robił sobie w duchu tę uwagę: „Mój Boże jak też to mylą pozory!

Panem młodym w tym weselu jest Ludwik Lidowski, który, jak widzimy, uległ ponętnym oczom panny Gabryeli i zręczności jej matki. Idzie do ołtarza uśmiechający się, wesoły jak zawsze.— Sam nie wie jak się to zrobiło że on się żeni. Jego to tylko najwięcej gniewa jak rodzice mówią przyjaciołom: Chciał Ludwik koniecznie, nie sprzeciwiamy się temu, niech się i z tą żeni, chociażby przecież dostał bogatszej. Słyszac to, Ludwik się niecierpliwi, powiada że jest zakochany, i że przytém robi bardzo dobrą partya. O tem przekonywa szczególnie swoich młodych

znajomych i sam musi w to wierzyć koniecznie, inaczej uciekłby chyba od ołtarza. Tomasz by gotów przechwalać się, że dwakroć posażniejszą weźmie, a Karol przedrwiwać z niego i litować się że go złapano. Dla tego też im powiada po dziesięć razy.

— Wystawcie sobie, Gabryelka ma sto dwadzieścia tysięcy leżących, co za wyborna rzecz dla mnie, któremu zawsze brakuje gotówki. Jak na tem zyszczą wsie moje. Każę sobie sprowadzić prawdziwych merynosów, wystawię w Helenowie holendernią na dwustu wołów” — i tym podobne robi projekta. Otóż i stoi już obok narzeczonej. Ksiądz pobłogosławił, na chórze zaśpiewano „Veni creator” i wszystko skończone. — Gabryelka jego, listy zastawne jego, (czy tylko za sto dwadzieścia tysięcy?).

Dla czegoż Zygmunta nie widzimy na weselu? O jeszcze w zeszłym roku wysłano go podróżować za granicę, żeby poznał świat i ludzi, jak mówili jego rodzice. Gdyż dotąd, choć już kończył lat dziewiętnaście, tak jeszcze miał pstro w głowie, że zakochał się w pannie bez posagu, i nawet śmiał raz powiedzieć głośno, że jak dojdzie do pełnoletności to się z nią ożeni. Wysłano go zatem na rok do Niemiec i Francyi. Przez rok bardzo wielkie mogą zajść zmiany, a cóż dopiero w sercu i głowie człowieka. Rodzice Zygmunta spodziewają się że powróci do nich rozsądniejszy.

W liczbie zaproszonych gości jest stary Jenerał, i Pułkownik, który także wkrótce ma przystąpić do ołtarza, mimo swych lat dziewięćdziesiąt. Nie śmiejęcie się, to nie przez dziwactwo starca ale z pocziwéj duszy popędu. Sam je-

den, bez bliskich krewnych ze znacznym majątkiem, pocóż myślał sobie, mam go zostawić umierając na łup roju sukcesorów nieznanych, nieprzychylnych, którzy się nie przyczynili do uszczęśliwienia mnie nawet przez jedną życia godzinę.

Przyszła mu na pamięć Amelia, córka ulubionego kolegi pułkownika, którą kochał ojcowskim przywiązaniem, odkąd na świat przyszła. Znał stan majątku jej rodziców, wiedział że się tylko z dożywotniej pensji pułkownika utrzymują a Amelia jedyne swe trzydzieści tysięcy zostawiła mężowi, aby na rozwód dozwolił, szczęśliwa jeszcze że szczupłym swym mieniem może okupić życia spokojność. Wiedział o tem Jenerał, i razu jednego bez przygotowań, bez tłumaczenia się zapytał: „Amelio chcesz przyjąć moje imię i rękę?” Amelia podniosła na niego oczy, a prze-

konawszy się że nie żartuje, odpowiedziała po chwili namysłu: „Dobrze” i z rozczuleniem, i z wdzięcznością ucałowała rękę swego dobrodzieja. Amelia była ubóstwionem dzieckiem swych Rodziców. Żywa, kochająca, rozumiała, że zawsze żyć będzie w tej atmosferze czułych starań i miłości. Ładnej jedynaczce podobał się trzydziesto-letni kawaler który już od lat dziesięciu wietrzył, jak wyżeł zwierzynę, posażne panny na wydaniu. Szczególnym nieszczęsnym trafem, chybiła tą razą jego przezorność, zdało mu się że nareszcie trafił na swoje, udawał szaleńce różkochanego i ożenił się z Amelią. Zawiedli się okrutnie, on na rachubie z bogacenia się pieniędzmi żony, ona w nadziejach serca. Amelia płakała biedna, ona co do tak łagodnego obejścia się matki nawykła, a teraz mąż

ciągle na nią fukał i łajał. Ledwo trzy lata minęły, już zepsute dziecko nie mogło dłużej wytrzymać i do pieczyt rodzicielskich wróciło. Jak okropne odczarowanie dla Amelii. Zamarło jej serce, znikła wesołość, choć jeszcze uśmiech młodości pozostał na twarzy.— Rodzice jej się starzeli turbując się że jedynaczkę bez majątku i opieki wkrótce sierotą zostawić przyjdzie. I Amelia nie miałaż przyjąć ręki Jenerała? On jej zapisał całe swe mienie, był dla niej troskliwym opiekunem, ona go czciła, szanowała kochała jak ojca. Powstaje świat na młode kobiety, które starych mężów biorą, o interessowność je posądza, a ile kobiet bez żadnego przywiązania oddaje się młodym ludziom dla tego że im o nich powiedziano. „Ma dwakroć lub trzykroć sto tysięcy.” A moje panie kiedy się sprzedajecie, sprze-

dajcież się drożej. Idąc dla pieniędzy za starego, nie będziecie potrzebowały kłamać przed nim, przed sobą, przed światem miłość przysięgając, gdyż nikt po was miłości wymagać nie będzie. — Stary ukontentuje się szacunkiem, przyjaźnią, zostawi wam majątek, którego używać będziecie jak jemu zaśpiwają de profundis. Lecz młody zechce wzajemności, a wy jeżeli ją w sercu nie znajdziecie, udawać musicie bezczelnie, lub odpłacać się obojętnością, wzgardą. Pytam się, jakie z tąd pożycie dwojga ludzi których śmierć nie prędko rozłączyć obiecuje? Mężczyzna łatwo otrząsnąć się może ze wszystkiego co mu zawadza, ale dla kobiety którą świat trzyma w szponach swego surowego sądu, zamknięta przyszłość, zamknięte pole do marzeń i nadziei. I to wszystko nieraz dla jakich nędznych stu tysięcy, któ-

re nawet nie zupełnie do niej należą.—
 A! moje panie, powtarzam, jakże się możecie sprzedawać tak tanio!

Hrabięgo Władysława nie ma w Warszawie.— Po długim oporze, wymawianiu się, ociąganiu, poszedł nareszcie za wolą ojca i ożenił się z panną, którą do najpiérwszych i najbogatszych partyj w kraju liczone. Ceremonia oświadczenia się, wesela, były dla niego chwilową rozrywką, lecz teraz znów się nudzi po dawnemu i mówi sobie: Ożeniłem się, skończona karyera moja.

Gdzież zimę spędza? w Paryżu. Tak matka żony chciała, a on przystał, bo mu wszystko jest obojętnem. Wspominając jednak o dobrach swoich, o nędzy ich mieszkańców, zwykł dodawać wykrzyknik politowania: ce pauvre peuple! Czyż on nie pojmie nigdy, jak by mógł ludu tego byt polepszyć, wpły-

wem przykładu i pieniędzmi, czy go nigdy szlachetny nie ożywi zapał, czy upodobanie w rodzinnych stronach przynajmniej jako kaprys mu nie przyjdzie?

Otóż jeszcze jeden z naszych znajomych przechodzi przez Krakowskie przedmieście. Karol, ten typ młodzieńca naszych czasów. Zarozumiały, teńorzowaty, marzący jedynie o zysku, bogactwie, zbytkach.— w nic nie wierząc jak w potęgę swych oczu i swój gładkiej twarzyczki. Jej to pięknnością obiecywał sobie schołdować wszystkie bogate panny na wydaniu, i dopiero raczyć wybierać między niemi.

Myślał nawet że mu same w ręce wpadną i ze wszystkimi kobietami ton zwycięzcy przybiérał. Tymczasem mija mu lat trzydzieści a tu gospodarstwo źle idzie, bogate panny śmieją się z nim

200

i tańczą, a wychodzą za drugich. Nawet Karol stał się giętszym, pokorniejszym, nic nie pomaga. Traci na ubiór i nie ma czem opłacić dzierżawy, którą jak mówił, wziął pour avoir l'air de travailler, mało siedząc w pokrytym słomą dworku, gdyż się go niebawem na jaki pałac przemienić spodziewał. Lecz i dzierżawa mu się kończyła, choć ją wziął na lat dziewięć, a tu nic cós o tej zmianie nie słyhać. Raz więc się był zastanowił trochę i wśród młodych znajomych grona, wyrzekł iż żeniąc się, przestałby na trzykroć sto tysięcznym posagu, ale mniej nie może. Nawet sądził się bardzo umiarkowanym w żądaniu. Wierzę jeżeli brał miarę z dawnych widzeń swęj wyobraźni, która ledwie że niewywoływała z *Tysiąc nocy i jedna* jeniuszów, księżniczek skrzyń złotem napełnionych.

Trzykroć sto tysięcy sine qua non, powtarzali żart Ludwika Lidowskiego, śmiejąc się młodzi. Doszło to do uszu niejednej kobiety. Ileż drwinków, przy-mówek biedny Karol usłyszał, ile cierpkiego doznał obejścia od tych nawet, które mniemał pokornymi niewolnicami i na które nie zawsze spojrzeć raczył.

— Ah! kobiety z wielkiego świata, zwykł mawiać wtedy, jak zepsute, zimne, jak bez serca.

Zaczął się unosić nad temi skromnemi dziewczycami, co nie przywykły opuścić zagród ojczystych, których najdalszą podróżą była jaka wyjażdżka do innej parafii na odpust. Lecz i tam nie powodziło mu się lepiej. Jego figura nie mogła się wydać w ciasnych salonikach. Nieraz wśród ukłonu, robiąc najuczęńszy obrót, zawadził o biurko zdobne rejestrami pańszczyzny, lub

wywrócił krosienka. A naiwne wiejskie panienki, mając od rodziców ciągle w uszy kładzione, że rządność przy swoim kawałku ziemi jest najpięrszą cnotą, lubo podziwiały przyjemność manierów pana Karola, każda jednak oddała posłusznie rękę wyznaczonemu sobie, ledwo domyślając się że gapio wielki, pewna tylko że bardzo dobry gospodarz. — Karol zaś w coraz gorszym humorze. Już teraz podobno połowę opuścił ze swego ultimatum: stopiędziesięcio-tysięcznym kontentowałby się posagiem, lecz i takiego znaleźć jeszcze nie może. —

Zaczął być oszczędnym, skąpym nawet. Puszczą się na różne spekulacye, ciągnie z dzierżawy najbrudniejsze zyski. Widać że traci nadzieję z bogacenia się przez ożenienie.

Ma słuszność, bo teraz nie umie nawet udawać zakochanego. Ciągłe

przemyśliwania nad zrobieniem majątku odjęły mu cały wdzięk jaki miał dawniej. W rozmowie sztywny i zimny, wymowa jego nie tak przekonująca, ubiór nie tyle wypieszczony, piękna twarz zbrzydła zaniedbana. Rozgniwał się na nią zapewne, że mu dotąd żadnej korzyści nie przyniosła. On, co na jej pomoc rachował aby się stać milionowym, nie pomyśli nigdy jak miłym jest skromny kawałek chleba, uczciwą, umiarkowaną pracą zarobiony. —

Alboż taka figura jest dziś u nas szczególnym zjawiskiem? Pozostały nam tylko od przodków, zmienność, brak wytrwałości, łatwość uwierzenia w powodzenie. Z rozrzutności o którą nas obwiniano, wpadliśmy w drugą ostateczność. W strojach prawda lubią zbytki, więc żeby na koronki i aksamity starczyło, przemyśliwają nad wynalezieniem sobie

dochodów, chciwie z biednych podda-
nych ciągną korzyści. Ta niepomiar-
kowana chęć zysku, w każdej objawia-
jąca się klassie, z żydami nas brata. Pie-
niądz wyziérajac z głébi każdéj myśli,
studzi wyobraźnią, wygasza szlachetne
uczucia. Zimni, bez zapału, obojętni
na wszystko co piéniężnéj nie przynosi
korzyści, oh! jakie z nas wyrodki! Nie-
prawdaż ziomkowie moi? Chciejcie tyl-
ko wéjrzeć w dawne wieki, rozbudźcie
umysł czytaniem.

KONIEC.



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACYJNYCH PAN**

<http://rcin.org.pl>

ul. Nowy Świat Nr 72

00-530 Warszawa

<http://rcin.org.pl>

F

1145/2